Nr. 11 Poznań, dnia 14 Marca 1909 r. Rok XIII.

Abonament wynosi kwartalnie na poczcie. . . 1,50 z odnoszeniem do domu . . 1,62 pod opaską . . 2,75

PRACA

Adres Redakcyi: Poznań, ul. Rycerska Nr. 38 Telefon Nr. 97. Ogłoszenia: od wiersza drobnego 30 fen.

TYGODNIK POLITYCZNY I LITERACKI, ILLUSTROWANY.

Hakatyści a centrowcy.



Partya centrowa, zorganizowana znakomicie na całym zachodnim obszarze państwa niemieckiego, nie posiada należytej organizacyi w dzielnicach polskich. Szczególniej w Wielkiem Księstwie Poznańskiem, które centrowcy uważali słusznie za wyłączną domenę Koła polskiego, organizacya centrowa nie istnieje prawie wcale.

Dopiero ostatniemi czasy, pod naciskiem głębokiej zmiany stosunków narodowościowych w naszej dzielnicy, poczęli się centrowcy krzątać około stworzenia i w naszym kraju swej własnej organizacyi politycznej. Chodzi o wyłowienie katolików niemieckich z pod znaków rozmaitych partyj blokowych, z hakatystycznych towarzystw pseudo-katolickich i zszeregowanie ich pod sztandarem wielkiej partyi centrowej.

Starania te dotychczas nie przyniosły zbyt dodatnich wyników i nie ma wielkich nadziei, żeby zamiarom tym świeciła gwiazda szczególnie pomyślna w przyszłości najbliższej. Hakatyzm, który w naszej dzielnicy przybrał wszelkie znamiona złośliwej jakiejś epidemii, tak dalece zatruł umysłowość tutajszych Niemców, tak przytem jest popularny i tak wielka moc jego sugestyi, nareszcie tak znaczne materyalne przynosi swoim zwolennikom korzyści, że trzeba być człowiekiem silnego ducha i stałego charakteru, żeby, Niemcem będąc, uchronić się od tej potwornej psychozy, grasującej prawie że powszechnie.

To też nie dziw żaden, że uległa hakatystycznej zarazie wielka część katolików niemieckich, która wprawdzie w wspólnej z Polakami religii, mogła była znaleść odtrutkę na bakcyl hakatystyczny.

Wydobycie tych żywiołów z pod wpływów hakatystycznych, sączących tutaj wszystkiemi porami i unoszących się jakoby w naszej zgniłej atmosferze politycznej, nie jest i nie może być rzeczą łatwą, szczególnie, jeżeli zamiar ten wychodzi z łona partyi na ogół sprawiedliwie wobec Polaków usposobionej i okrzyczanej wskutek tego przez istinno pruskich ludzi, jako uprawiającą zdradę króla i niemczyzny.

Rozumieją to położenie znakomicie sami centrowcy i nie spoglądają na sytuacyę przez szkła różowe. Mimo to nie zakładają rąk bezczynnie.

To naturalnie nie podoba się wielce patentowanym patryotom hakatystycznym. Puszczają oni co chwilę w świat artykuły obliczone na zohydzenie centrowej akcyi organizacyjnej i przedstawiają sprawę tak, jakoby centrowcom chodziło przedewszystkiem o wyświadczenie politycznej przysługi Polakom przez osłabienie obozu hakatystycznego, a jak oni się wyrażają, „narodowo-niemieckiego“. Przypominają więc centrowcom klęskę, jaką na G. Śląsku ponieśli w walce z ruchem narodowym polskim, i prorokują, że robota centrowców w Księstwie musiałaby doprowadzić do ruiny niemczyzny w kraju, gdyby się udało plany centrowe na szerszą metę przeprowadzić. Ostrzegają centrowców przed Polakami, którzy tylko wyzyskują konjunktury polityczne i ani myślą o zainaugurowaniu polityki pojednawczej, odrzucają ją nawet, jako środek czysto taktyczny. Nareszcie twierdzą, że Polacy są, byli i będą ludźmi dwulicowymi, którzy publicznie zapewniają Niemców o swej lojalności, w istocie jednak wrogie mają wobec państwa zamiary. Z takimi ludźmi się łączyć jest oczywistą zdradą sprawy niemieckiej, zatem jest nią też centrowa akcya organizacyjna w Księstwie.

Artykuły takie naturalnie żadnego nie wywierają wrażenia po stronie centrowców. Wyszydzają oni w pismach swych strachliwość i ciasnotę polityków hakatystycznych, których bezmózgowa pisanina wprost podkopuje polityczny kredyt niemieckiego państwa u zagranicy. Że tak jest, dowodzą artykuły szeregu bardzo poważnych, zwykle doskonale poinformowanych gazet angielskich, które zupełnie na seryo twierdzą, że Niemcy nie mogą wypełnić obowiązków wynikających z przymierza niemiecko-austryackiego, gdyż nie mogłyby wdać się w wojnę z Rosyą, ponieważ pruscy Polacy rzuciliby się w takim razie natychmiast na Niemców i przyłączyliby się do Rosyi, która się ze swoimi Polakami bez porównania lepiej obchodzi.

Wracając do centrowych prób organizacyjnych na ziemi naszej, zaznaczyć należy, że ludność polska może się do nich odnosić z sympatyą. Każde zwycięstwo centrowe bowiem oznacza zwycięstwo pewnej tolerancyi narodowej nad szowinistycznym nacyonaliz-

mem hakatystycznym, jest zwycięstwem dobrze pojętej niemczyzny nad prusactwem, jest zwycięstwem idei chrześciańskiej nad doktryną nowoczesnego pogaństwa, które tylko siłę ubóstwia i kpi z wszelkich moralnych wartości. My Polacy życzymy centrowcom wszędzie powodzenia u Niemców, bo uważamy ich partyę za najsprawiedliwszą partyę niemiecką i nam najżyczliwszą. Mówiąc to, nie zapominamy oczywiście, że i w tej partyi znachodzą się jednostki nam nieprzychylne, i hołdujące tendencyom germanizacyjnym, t. zw. łagodnej germanizacyi. To jednak nie może mieć wpływu na nasze stanowisko wobec wielkiej partyi centrowej, jako takiej.

Na koniec jeszcze mała uwaga na temat polityki pojednawczej, o której, według twierdzeń hakatystów, Polacy słuchać nie chcą. To jest fałsz. Owszem. Polacy nicby nie mieli przeciw rzetelnej polityce pojednawczej. Wszyscy pragniemy pokoju i zgody. Lecz nie życzymy sobie, by inicyatywa od nas wychodziła. Politykę taką tylko rząd rozpocząć może wspólnie z izbami ustawodawczemi. Niechaj zniesie całe ustawodawstwo antypolskie, wyznaczy językowi naszemu należyte miejsce w życiu publicznem i obchodzi się z nami tak, jak konstytucya przepisuje, a pokaże się, czy jesteśmy tak dalece nieczuli na politykę pojednawczą, jak to hakatyści światu wmówić usiłują. Wszystko, co dotąd Niemcom podobało się uważać za politykę pojednawczą, było polityką mydlenia oczu, byśmy tem łatwiej wpadli w pułapkę. Kilka tytułów i garść uprzejmych słów, telegram pochwalny, a nawet trochę okruchów polskich w szkole, nie może przecież uchodzić za rzetelną politykę pojednawczą — to chyba dziecko zrozumie.

Równie głupie jest twierdzenie hakatystów, jakoby centrowa polityka służyła interesom polonizacyi. Powoływanie się na G. Śląsk niczego nie dowodzi. Tam partya centrowa — o ile do niej należał lud polski — była anomalią polityczną. Lud garnął się pod sztandar centrowy za czasów kulturkampfu w obronie wiary i byłby był się przyłączył do każdej partyi, którąby była występowała w obronie Kościoła, także do Koła polskiego, gdyby wówczas Koło było miało dość sił, na wywieszenie swego sztandaru na Śląsku. Odrodzenie Śląska dokonało się nie z powodu polityki centrowej, lecz mimo polityki centrowej, a zwycięstwo, żeby się tak wyrazić, zewnętrzne ruchu polskiego tj. przejście ludu polskiego pod sztandar Koła polskiego nie nastąpiło dla tego, że centrum zbyt wielkie robiło ustępstwa na rzecz narodowych żądań ludności, lecz przeciwnie dla tego, że było pod tym względem zbyt ciasne, zbyt narodowo-niemieckie. I ewolucya ta byłaby się dokonała tem rychlej, im bezwzględniej partya centrowa byłaby występowała przeciw uprawnionym narodowym żądaniom ludności. Tyle pewna, że hakatyści nie byliby utrzymali polskiego ludu na Śląsku w swym obozie tak długo jak to się udało centrowcom.



Listy od przyjaciół.

Kolonia polska w Greppinie.

Greppin w prowincyi saskiej, d. 8 marca.

Zbliża się wiosna, a z nią zaczynają Polacy opuszczać ojczyste strony, by na obczyźnie szukać raj obiecany, ale zamiast raju, popadną tylko w biedę, co tysiące mogą poświadczyć. Ku przestrodze niechaj więc czytelnicy „Pracy“ się dowiedzą, jak tutaj Polakom się powodzi. Oto przyjadą z ojczyzny, aby znaleść kawałek chleba; idą do kopalń, gdzie muszą nieraz za marny grosz ciężko pracować, jak bydlęta, albo też pracują w fabrykach, gdzie się zatruwają w młodych latach i zostają na zawsze kalekami. A teraz zimą jest prawie połowa bez pracy, więc bieda i nędza daje się niejednemu niemiłosiernie we znaki.

Nie tylko sprawy materyalne Polakom tutaj dokuczają, lecz także sprawy duchowe. Oto jest nas tutaj przeszło 900 Polaków a ani 50 Niemców, to by każdy powiedział: tam też w kościele jest polskie kazanie. Ale gdzie tam, nasz ks. wikary myśli tak: chcesz słyszeć



Nowości beletrystyczne.

Wacław Sieroszewski: Małżeństwo. — Być albo nie być. — Tułacze. — Warszawa—Kraków 1909. — *Henryk Zbierzchowski: Literat.* — Warszawa—Kraków 1909. — *Marya Rodziewiczówna: Rupiecie.* — Warszawa—Kraków 1908. (Książki te wyszły nakładem Gebethnera i Wolffa, względnie G. Gebethnera i Spółki.)

Powieść wywalczyła sobie w Polsce dość rychło prawo obywatelstwa, ta powieść, która i u innych narodów przez długi czas uważaną była za rodzaj twórczości mniej wartościowej w porównaniu z takimi płodami ducha jak dramat lub poezya. Toć u Niemców jeszcze wielki Schiller z okazyi oceny „Wilhelma Meistra“ Goethego nazwał *powieściopisarza* przyrodnim tylko bratem *poety*. Z biegiem czasu zmieniło się to i podobne zapatrywanie na powieść u wszystkich kulturalnych narodów. W Niemczech znalazły romans i nowela drogę do przybytku sztuki i serca narodu za pomocą Spielhagena, Freytaga, Kellera, Auerbacha, Heysego itd., dla naszych twórców nie byli oni nigdy drogowskazami (inaczej ukształtował się nasz stosunek do przedstawicieli romansu angielskiego, francuskiego i narodów słowiańskich.) Dziś powieść wszędzie takiem samem prawem liczy się do dzieł sztuki, co i inne twory poetyckie, oczywiście o ile na nazwę tę pod względem artystycznym i ideowym zasługuje.

U nas powieść od dawna większą odgrywała rolę, niż dramat, (Słowacki np. żadnego ze swoich dramatów nie widział na scenie, gdyż teatry ich nie wystawiały za życia poety!) jedynie ze ścisłą poezyą współzawodniczyła o palmę pierwszeństwa, którą po roku 63-im faktycznie zdobyła. Powieść jako następczyni epopei przedstawiała w początkach swoich z upodobaniem czyny rycerskie, do których nadawało się najlepiej tło historyczne; ale i powieść współczesna rychło ukazała się na widowni literatury ojczystej.

Pierwsze tryumfy powieści (historycznej i społecznej) związane są z nazwiskami *Kraszewskiego, Korzeniowskiego, Kaczkowskiego, Ignacego Chodźki, Rzewuskiego.* Kraszewski, prawdziwy Tytan (olbrzym) duchowy, powieściami swojemi podłożył podwalinę pod czytelnictwo polskie, długo odłogiem leżące, wypierał przytem z powodzeniem twory francuskie; — ci drudzy wedle sił byli mu w tem pomocni, ciesząc się wielką wziętością (Korzeniowski także, — a nawet przeważnie — jako dramaturg) u ówczesnego pokolenia. Utwory tych pisarzów dają nam poznać rysy charakterystyczne dalszej i bliższej naszej przeszłości (którą Rzewuski co prawda w zbyt różowych maluje kolorach), odzwierciedlając ducha czasu dawnych pokoleń, dla tego też nie zasługują na zapomnienie pomimo to, że z biegiem czasu kierunki literackie, forma i faktura powieści gruntownemu uległy przeobrażeniu.

Po roku 63-im czytywano w Polsce obok Kraszewskiego najwięcej powieści *T. T. Jeża* (Miłkowskiego), *Zacharyasiewicza, Bałuckiego, Wilczyńskiego.* Położenie kraju pod względem politycznym sprawia, że na czas ten przypada rozkwit powieści, który osięga punkt kulminacyjny w twórczości koryfeuszów jej: *Elizy Orzeszkowej, Sienkiewicza, Bolesława Prusa* (Głowackiego). Powieść podniosła się do roli wychowawczyni narodu. Wiekiem należą i ostatnio wymienieni pisarze do starszego pokolenia, jednakże z pod pióra ich wychodzi i dziś jeszcze niejedno świeże, z młodzieńczym ogniem stworzone dzieło. Na tej owocnej ni-

kazanie, to się naucz po niemiecku, bo teraz nie ma polskiej mowy tylko niemiecka.

Aby złemu zaradzić, tutejsze polskie Towarzystwo czyni starania, żeby Polacy swoje prawa co do kazań polskich uzyskali w kościele. W tym celu wybrana komisya poszła do ks. wikarego i prosiła go, żeby też polskie kazania się odbywały. Ks. wikary przyrzekł komisyi, że od czasu do czasu wygłosi po rannej mszy św. polskie kazanie. Komisya zwróciła mu tedy uwagę, że w każdą niedzielę powinno być polskie kazanie ze względu na wielką liczbę parafian Polaków, ale ksiądz wikary wyraziwszy się nawet o Polakach parafianach w sposób obraźliwy, otworzył drzwi i zaczął członków komisyi wyganiać.

Na zażalenie u ks. proboszcza nic także nie skorzystaliśmy. Znamienną jest jego odpowiedź: To jest bardzo dobrze, że Polacy kazania niemieckiego nie rozumieją, bo można o nich powiedzieć co się chce.“

Jest to prawie nie do uwierzenia, żeby tak można szydzić z Polaków a jednak jest to faktem rzeczywistym.

Nie pozostało nam nic więcej, jak zażalenie odesłać do ks. Biskupa, ale na odpowiedź czekamy do dzisiaj. W każdym razie starać się będziemy dalej o polskie kazania a może sprawiedliwość zostanie nam wymierzona.

Takie stosunki panują na obczyźnie; niech sobie to ci wezmą na rozwagę, którzy mają zamiar wyjechać na obczyznę. *Fr. O.*

gorliwy czytelnik „Pracy“.

* * *

Tolerancya węgierska.

W sprawie uwag, dołączonych przez nas do artykułu p. t. „Tolerancya węgierska,“ otrzymujemy od autora odnośnej korespondencyi następujące pismo z prośbą o umieszczenie:

Szanowny Panie Redaktorze!

Co do Pańskiej odpowiedzi na mój list umieszczony w 10-tym numerze „Pracy“ podpisuję każde słowo i byłbym zupełnie zadowolniony, gdybym nie widział — niestety — w Pańskich zdaniach osobistego występowania przeciw mnie. Pan wytacza swe argumenta przeciw moim twierdzeniom, choć ja właśnie co do tych punktów wstrzymałem był się zupełnie od wyrażenia swych sądów. Wstrzymałem był się od każdej krytyki występowania Węgrów, a wcale nie wspominałem o rozporządzeniach ustawodawczych itd. celem *dowodzenia* tolerancyi węgierskiej. Tak samo nie zaprzeczyłem ani słowem faktom nadmienionym w artykułach pana Smólskiego. Zamiarem moim było jedynie: *postawić takie fakty we właściwym świetle,* bo wcale nie mogłem i nie mogę zgodzić się na porównanie występowania Węgrów względem obcych narodowości z uciskiem Prusaków skierowanym przeciw Polakom.

Myślałem, że wystarczy wskazać na fakt, że Węgrzy nie posiadają niezawisłego państwa, aby wyjaśnić, że o właściwym ucisku tu mowy być nie może. Tylko naród panujący może uciskać w ścisłem znaczeniu tego słowa, mocą środków gwałtu, którymi rozporządza. Takim narodem jednak Węgrzy nie są. Agitacya przeciwpaństwowa istnieje, to fakt. Nie szukam jednak winy tego wyłącznie w narodowościach. Przeciwnie! usprawiedliwiam *niezadowolenie narodowości niewęgierskich w pełnej mierze* wobec niezadowolenia, które spotykał system rządowy w szeregach samych Węgrów. — Rządowe rozporządzenia, o ile krzywdzą narodowości, można brać za nieszczęśliwe próby rozbudowywania państwowości węgierskiej; za nic więcej! — Co jednak do agitacyi narodowościowej, to nie mogę uważać jej za sprawiedliwy wyraz niezadowolenia. Nie chodzi jej wcale o pielęgnowanie charakteru narodowego, lecz *używa ona słabości państwa do bezkarnej działalności antypaństwowej.*

Nawet usprawiedliwione występowanie rządu względem takiej działalności uchodzi wskutek braku państwowej powagi za ucisk. Tylko pełna niezawisłość państwa złączona z pełną sprawiedliwością byłaby rzeczą pożądaną dla każdego patryoty.

* * *

Od Redakcyi: Do listu tego musimy dołączyć kilka uwag. Przedewszystkiem tę, że nie mieliśmy najmniejszego zamiaru występować osobiście przeciw Szanownemu Korespondentowi naszemu. Krytykowaliśmy raczej tylko system węgierski stósowany do Słowaków, a czyniliśmy to na tle danych, zawartych w korespondencyi. Że autor wspomnianej korespondencyi zgadza się na nasze wywody, dowodzi, że krytyka ta była słuszna.

---

wie dużo mieli lub mają współpracowników, częścią silne indywidualności, zmierzające odrębną, na wskroś oryginalną drogą do osiągnięcia celu, np. *Sewer* (Ignacy Maciejowski), *Dygasiński, Klemens Junosza* (Szaniawski), (wszyscy trzej dziś już nie żyjący), oraz *Zapolska,* początkowo tylko naśladująca Zolę, — częścią pióra, kroczące, choć bez naśladownictwa, utartymi przez poprzedników szlakami *(Krechowiecki, Choiński, Gawalewicz, Przyborowski, Gruszecki, Kosiakiewicz, Gliński* itd.)

Najwybitniejszymi przedstawicielami nowej doby są: *Żeromski, Reymont, Sieroszewski, Daniłowski* i in. *Przybyszewski i Berent* (autor dwóch tylko powieści: „Fachowca“ i „Próchna“), zamilkli w ostatnich latach. Oczywiście w pobieżnym naszym artykule pomijamy wielu (nawet pierwszorzędnych autorów), podanie długiego szeregu nazwisk bez dołączenia krótkiej chociażby charakterystyki nie miałoby też celu. Za to będziemy częściej na łamach „Pracy“ zdawać sprawozdania z najnowszych tworów duchowych powyższych i innych reprezentantów naszej literatury powieściowej.

W ostatnim czasie pojawiło się na tem polu kilka nowości, którym warto przypatrzyć się bliżej. Pokaźny tom *Sieroszewskiego,* autora *„Dna nędzy“, „Na kresach lasów“, „W matni“* itd. zawiera trzy dłuższe opowiadania: *„Małżeństwo“, „Być, albo nie być“, „Tułacze“.* Są to trzy głęboko odczute i silnie namalowane artystyczne obrazy. Autor snuje powieści te bądź na znanem nam już z innych jego utworów tle sybiryjskiem, bądź też, biorąc asumpt z dni rewolucyjnych w Królestwie, roztacza przed nami ponury, litością, miejscami grozą przejmujący obraz katuszy, które ponoszą jednostki na ołtarzu swoich przekonań...

Opowiadania Sieroszewskiego przerastają o całe niebo zwykłą strawę beletrystyczną, przeznaczoną ku rozrywce czytelnika, są one odbiciem niedoli, niemal dokumentami martyrologii polskiej. A w każdym prawie bohaterze smutnych powieści autora nietrudno odnaleźć cząstkę własnej jego duszy. Nie dziw, toż sam on doznał całego ogromu udręczeń, wszystkich tych z męczeństwem graniczących bólów życia podczas długoletniego swojego wygnania na Syberyi. Pomimo to tchną obrazy jego niekoniecznie czarnym pesymizmem: jest on czułym nietylko na posępny tragizm ludzki, ale i na uśmiech życia, choćby jego środowiskiem były sybirskie równiny, a bohaterami zesłańcy polityczni cierpiący moralnie i fizycznie. Ta doza optymizmu sprawia, że zagląda on bez rozpaczy na dno utrapień i krzywdy. Nie wygasła w nim samym ochota do życia, więc zaszczepia i swoim bohaterom ukochanie życia. Wiemy też z góry, że silne te postacie, pomimo że dusze ich targają się w strasznym bólu, nie dadzą się złamać i nie zwątpią o przyszłości. Toż nawet skuty łańcuchami w kazamatach polityczny więzień — męczennik, któremu podyktowano dwadzieścia lat ciężkiej kaźni, woła: „Żyć! Zachować gdzieś głęboko, gdzieś na samem dnie duszy, w granitowym sarkofagu serca własne ziarno... Zamknąć w twardej i niezmożonej bryle woli ciepłą skrę dla przyszłych pożarów... Ocalić ją pod suchym popiołem!... Aż przyjdzie dzień i wyjdę stąd... wyjdę, wyjdę... uzbrojony i silny jak dziś... silniejszy o całe morze niezłomnych doświadczeń!“ („Być albo nie być“.)

Jak wspomnieliśmy powyżej, wywarły na książkę niniejszą wielki wpływ wypadki konstytucyjno-rewolucyjne lat ostatnich w Królestwie („Tułacze“, „Być albo nie być“). Możemy powiedzieć, że Sieroszewski należy do tych niewielu pisarzów (a rzucono się gremialnie na ten temat), którzy owe tragiczne, w skutkach swych bezowocne wysiłki, bez gonienia za sensacyą w artystyczne potrafili ująć kształty. — W pierwszej powieści („Małżeństwo“) porusza autor kwestyę drażliwą. Czyni

Tolerancyi narodu węgierskiego nie kwestyonujemy. Wiemy dobrze, że rząd i naród tworzą różne pojęcia. Także wobec powyższego listu szanownego korespondenta nie możemy milczeć. Powołuje się on na fakt niedostatecznej niezawisłości Węgier i sądzi, że z tego źródła płyną najrozmaitsze niedogodności. Nie wątpimy o tem, lecz nie możemy zrozumieć, co to ma do nierównego traktowania Słowaków. Przecież brak niezawisłości nie powinien wpływać na stosunki szkolnictwa słowackiego. Obawiamy się też, że autor nie wniknął należycie w ducha ruchu słowackiego, o którym nigdy nie słyszeliśmy, żeby się uwydatniał w kierunku antypaństwowym. Ten sam zarzut niesprawiedliwy czyni rząd pruski ruchowi polskiemu u nas. Bezkarnie także nie występują Słowacy przeciw rządowi. Znane są i u nas ostre kary, jakie spotykają słowackich prowodyrów za każde przewinienie polityczne.

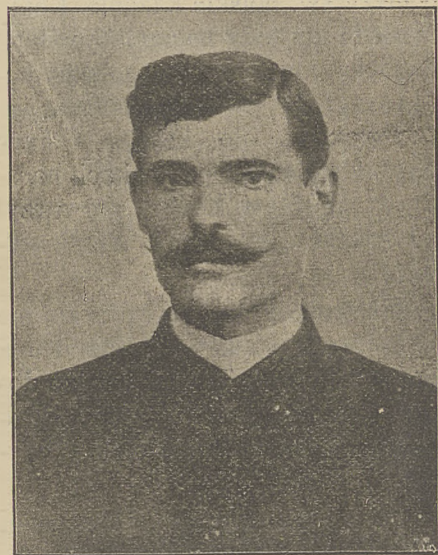
Nie pojmujemy też, jak autor może twierdzić, że Węgrzy w Węgrzech nie są narodem panującym, że zatem Słowaków uciskać nie mogą. Przecież w rękach Madziarów spoczywa całe ustawodawstwo i administracya krajowa, więc środki ucisku istnieją chyba w wystarczającej mierze. Co do nas sądzimy, że każda większość może uciskać, jeżeli chce, każdą mniejszość. Przykładów na to nie brak w historyi. Przypominamy ucisk socyalistów w Prusach, ucisk katolików podczas kulturkampfu. Toć położenie Polaków w Galicyi ani w części nie jest tak pomyślne jak takież Węgrów na Węgrzech, a przecież mogliby Polacy, gdyby chcieli, uciskać Rusinów, chociaż ci stanowią połowę ludności krajowej. Byłoby to szalonem przedsięwzięciem i musiałoby wydać jak najgorsze owoce, lecz niemożliwem by nie było.

Jeszcze raz więc: nie występujemy osobiście przeciw szanownemu autorowi, przyznajemy też tolerancyę narodowi węgierskiemu, rozumiemy także kierowniczą myśl rządu węgierskiego, który wobec niewęgierskich narodowości bez porównania trudniejsze ma stanowisko niż n. p. rząd pruski wobec swojej nieniemieckiej ludności, lecz nie możemy pochwalać środków antysłowackich, nie możemy ich tłumaczyć, ani nawet *bez krytyki przyjmować do wiadomości*, gdyż występowalibyśmy przez to sami przeciw sobie. Nasze miejsce jest zawsze obok słabszych, obok gnębionych, obok walczących za ludzkie i narodowe prawa, chociażby nawet obrona tych słusznych i nie przedawnionych praw przyjmowała chwilami charakter niezupełnie właściwy. Wiemy bowiem z własnego doświadczenia, ile na to potrzeba czasu i klęsk, by w narodzie, którego psychologia inaczej wygląda, aniżeli psychologia poszczególnego człowieka, wyrobiło się zupełne zrównoważenie, zupełna zgodność uczucia i rozumu, by wszechstronna rozwaga weszła w swoje prawa i kierowała akcyą obronną narodu.

Sądzimy, że na tem zamknąć możemy tę interesującą dyskusyę, która odbywała się sine ira et studio, jak sądzimy, z obu stron.

Ferdynand Kuraś,

chłop-poeta.



Ferdynand Kuraś.

Do wódki!

Przeklęta wódko! o płynie śmiertelny,
Po toś przywiodła tu swój ród piekielny,
Abyś ród ludzki z zdrowia obdzierała
I nieszczęśliwe dusze oddawała
W żelazne szpony przeklętego czarta—

---

to atoli w sposób bardzo delikatny, nie narzucając się ze swojem zdaniem. Można się nie zgadzać z tendencyą autora zawartą w tym utworze, co więcej, można wprost na przeciwległym stanąć biegunie, co do jego punktu widzenia na obecną formę małżeństwa i zmian, za jakiemi tu przemawia, ale nie można oprzeć się sile uroku tej powieści. Wysoce artystyczna forma, pogłębienie duchowe nadzwyczaj wyrazistych postaci, a przedewszystkiem przepiękne obrazy przyrody, — oto zalety pióra, któremi autor czarować umie czytelnika. Zalety te napotykamy tak w „Małżeństwie“, jak i w tych drugich opowiadaniach. Dla przykładu podajemy cudny poetyczny ustęp z „Tułaczy“, malujący przebudzenie się wiosny:

„Nareszcie zwycięska wiosna potargała na szmaty odzież zimy i jej milczenie. Ze strasznym łoskotem rozpękły lody na rzece i popłynęły, błyskając zielonawemi graniami dziworacznych kier. W czarnych, wilgotnych pachwinach ziemi zaburliły wody. Potoczyły się ku nizinom z dźwięcznym mamrotem ich pstre, łyskliwe zwoje. Zapryskały, zaburzyły się piany wodogrzmotów tocząc w skalnych szczelinach pokruszone rumowiska głazów; szalejąc w omszałych wądołach, wśród wielkich szarych opok, na których siwe liszaje i biały zamróz nocowały jeszcze obok siebie. Z nabuchłych wilgocią ról, z ogrzanych słońcem łąk trysnęła ruń szmaragdowa. Zabielały centki sasanek i pierwiosnków. Roziskrzyły się gęsto żółte gwiazdy ostromlecza. Czarki jaskrów zalśniły się na mokradłach, niby wykute z cienkich blaszek porannego blasku słonecznego. A górą w borach i gajach, dokoła czerwonomiedzianych gałęzi, dokoła żelaznosinych pędów, tryskały, krzepły, gęstniały w oczach tumany młodego listowia. Niezrównany zapach żywicy i wina wionął z obarów drzew, z nasion kwiatów, rozdartych pragnieniem nowych ukwieceń i nowych miłości. Zbudzone motyle lękliwie polatywały w słońcu i grzały na ociepłałych pniach wyblakłe skrzydełka. Muchy, żuki, mrówki i pełzające robactwo wylęgło na powierzchnię z zimowych kryjówek i skrzętnie badało teren swych nowych zapasów o sytość i miłość. Zaświegotało ptactwo. Zagędźbiły w podniebiu senne trójkąty gęsi, zagrały klucze długonogich żórawi. W zacisznych bojarach i bagienkach zatrzepotały się roje lubieżnych kaczek. Na słonecznych wygrzejach zawiodły zażarte boje niezliczone zastępy przelotnych kulików i kurek. W ciemniach puszcz zakukała przynętnie kukułka“...

Najnowsze utwory Sieroszewskiego, napisane z niepowszednim artyzmem, owiane gorącą miłością ku ludzkości wogóle, a specyalnie ku gnębionej ojczyźnie naszej, sprawiają, że trudno rozstać się z książką autora, którego nie bez racyi nazwano „klasykiem naszych czasów.“

. . . .

Henryk Zbierzchowski rozpoczął w bardzo młodym wieku swoją karyerę literacką, a pierwsze powodzenie zdobył w Poznaniu, tu bowiem otrzymał jako 17-letni młodzieniec nagrodę konkursową za dramat z życia Mickiewicza p. t. „Rok 1838.“ Było to w roku 1898-ym, w kilka lat potem wydał tom sonetów i wierszy lirycznych p. t. „Impresye“ (1902), a z powieści „Przed wschodem słońca“ (1903) i „Na złotej przełęczy“ (1904). Drugi tom poezyi („Baśnie“) wyszedł w roku 1906-ym, zaś w następnym ukazuje się powieść „Malarze“, a w końcu zbiorek nowel p. t. „Grający las“.

Najnowsza powieść Zbierzchowskiego nosi tytuł *„Literat.“* Treść tego utworu nie jest zbyt wyszukaną, przeciwnie, powiedzielibyśmy nawet, że temat wyzyskany został przez całe zastępy innych pisarzów. Atoli niema zużytego tematu dla prawdziwego talentu, gdyż ten potrafi artystycznem obrobieniem, prawdą psychologiczną, barwnym stylem oraz innemi zaletami najwięcej nawet znanym motywem odrębne dać oświetlenie, a przybrawszy je

Hej! zdala od nas! przeklęta, rozżarta
Nieprzyjaciółko rodu człowieczego!
Precz!... wędruj w otchłań piekła okropnego,
Niech sobie czarci ucztę wyprawiają,
Niechaj cię ludzie więcej nie zaznają.
Ciebie potępia chrześciańska szkoła.
Tyś od świętego przeklęta Kościoła.
A więc precz od nas, wódko obrzydliwa,
Gdy tysiąc przekleństw dziś na ciebie spływa.

* * *

Do skowronka!

Skowroneczku! wznoś się w górę
Pod niebiosów siną chmurę
I w powietrzu zawieszony
Raduj ziemię swymi tony.

Niechaj dźwięczne pienia twoje
Słodzą kmieciom ciężkie znoje;
Proś za nami Boskiej Matki,
Niech ma w pieczy swoje dziatki,
Użyczy nam błogiej rosy,
By szły w górę pełne kłosy...

A gdy złotem zalśnią łany,
By je chronił Pan nad Pany
Od wszelakiej przykrej szkody:
Burzy, gradu, słoty, wody...

Skowroneczku! śpiewaj w górze,
Tam w niebieskim hen lazurze,
U podnóżka Matki Boskiej,
O pomyślność naszej wioski!

* * *

Z wiarą do zwycięstwa!

Kiedy przed laty zdrada dumnych panów
Na matkę Polskę sprowadziła wroga,
Zwołał Kościuszko garść dzielnych włościanów
I zawiódł najpierw do świątyni proga:
— Święty i Mocny Boże Niezmierzony!
Błagają chłopi, zmiłuj się nad nami!
Łaskawem okiem spójrz na lud wzgardzony
I daj nam odnieść tryumf nad wrogami!

A padłszy na twarz, Bogu się zlecali,
Pełni pokory, o głaz czołem bili
I, tknięci męstwem, dzwoniąc w ostrza stali
Przeciw najeźdźcom Ojczyzny ruszyli.

Ich całą bronią była na sztorc kosa,
Suknia — pancerzem, wiara święta — tarczą.
I gdy tak zbrojni, nucąc pod niebiosa,
Stanęli, kędy działa wrogów warczą.

Drwili Moskale z onej garstki ludu
Nie ćwiczonego wojennym obrotem,
Lecz na przekorę lud nasz dowiódł cudu,
Wojsko moskiewskie usławszy pokotem!
. . . .
. . . .
. . . .
. . . .

* * *

Ferdynand Kuraś, prosty samouk, twórca zbiorku równie szczerych i rzewnych piosnek, z którego trzy powyżej zamieszczamy, zrodził się w zagrodzie chłopskiej, nad Wisłą, pod samym Tarnobrzegiem, tam gdzie teraz twarzą ku Sandomierzowi zwrócony stoi

. . . . pomnik Bartosza,
Z wdowiego ludu wzniesiony grosza.

Tam, do dziś dnia — ubogi, bezrolny poeta ludowy pracą wyrobniczą musi krwawo zarabiać na powszedni chleb dla siebie i rodziny

Jak tułacz, wiodąc życie wśród cierpień niedoli,
Bez piędzi użyźnionej potem dziadów roli...

Walka o byt pochłania najlepsze jego siły, gnębi w nim dar pieśni, on zaś, potomek rolników zrodzony do pługa, schnie z tęsknoty za własnym zagonem, o którym nawet i marzyć nie może.

A ziemia, ziemia — tak urodzajna,
Taka pszeniczna — taka chlebodajna,
Że bez trudności jeden taki mały
Powiat wyżywić zdołałby kraj cały!

Na widok, jak w twardym znoju targa się i marnuje talent od Boga samego dany mu na pożytek społeczeństwa — powstała w Tarnobrzegu myśl, by ze składek, zbieralnych w całym kraju, zakupić dla poety kilkumorgową zagrodę włościańską.

W tym celu zawiązał się w Tarnobrzegu pod protektoratem J. E. Stanisława hr. Tarnowskiego, prezesa Akademii umiejętności w Krakowie, Komitet, który prosi wszystkich ludzi dobrej woli o przyczynienie się do urzeczywi-

---

w świeże kształty, stworzyć rzecz całkiem nową, któraby byłaby zdolną wywrzeć na czytelniku wrażenie artystyczne i wzbudzić w nim tem samem estetyczne zadowolenie. Takim talentem *jest* zdaniem naszem Zbierzchowski. Ma on na świat i ludzi swój własny sposób patrzenia, więc i jego temat traktujący o nieszczególnie dobranem stadle małżeńskiem przedstawia nam się w zupełnie oryginalnem świetle. Oto pokrótce treść powieści:

Adam Porecki, literat z artystycznemi, ale i ekscentrycznemi upodobaniami ma za żonę słabą i przeczuloną, ale w gruncie rzeczy dobrą istotę, pragnącą szczerze dostroić się do sposobu myślenia swojego męża. Nie jest to dla niej zadaniem zbyt łatwem, gdyż co może mieć wspólnego tych dwoje: on, artysta w każdym calu, szukający wciąż nowych wrażeń i ona, natura prosta, zajęta przedewszystkiem drobnemi sprawami życia? Ale chociaż nie tworzyli pary odpowiedniej, to jednak mogliby byli przy dobrej woli, zwłaszcza, że bądź co bądź kochali się prawdziwie, być względnie szczęśliwi, i ta różnica ich usposobień, choć może wykrzywiłaby im nieco linie życiowe, sama przez się nie byłaby może jeszcze stworzyła tragedyi. Katastrofę sprowadza... literatura, albo raczej dusza literacka Adama, któremu nie wystarczała do życia — jak autor zapewnia — miłość pogodna, jasna, spokojna, łaknął on rozkoszy wyszukanych i zaczął grę z własną żoną. Porozdawał role, obmyślił sytuacye i zaczął się teatr... Adam zapoznaje żonę swoją Nelę w kilka miesięcy po ślubie z przyjacielem swoim Stanisławem Zarudzkim. Ten od pierwszego dnia interesuje się żywo Nelą, a i ona ze swej strony okazuje z biegiem czasu pewną skłonność ku przyjacielowi męża. Adam widzi to, atoli zamiast wyciągnąć z tego spostrzeżenia odpowiednie konsekwencye, a więc nie pozwolić na rozwijanie się uczucia żony ku innemu mężczyźnie i o ile możności ciągłemu ich spotykaniu się zapobiedz, czyni on zupełnie coś przeciwnego. Aranżuje swój „eksperyment literacki“: dla wypróbowania wierności żony zamyka świadomie oczy na grożące niebezpieczeństwo, ba, rzuca poprostu żonę w objęcia przyjaciela ułatwiając im schadzki, zostawiając ich ciągle samych itd., a przytem jest dla niej umyślnie zimnym i odpychającym. Nela broni się przed miłością „tego trzeciego“ i to z takim skutkiem, że Zarudzki ze zranionem sercem wyjeżdża do siebie na wieś. Ale Adam niekontent z tego, że Zarudzki usunął się z widowni, że mu popsuł jego eksperyment literacki i to przed rozegraniem ostatniego aktu. Szuka więc sposobności ponownego zbliżenia się tych dwojga. W tym celu zaprosił się z żoną na wieś do Zarudzkiego, tu znowu zostawiał ich sam na sam, no, i doczekał się swojego „ostatniego aktu“, tj. zdrady ze strony żony, o czem dowiaduje się niezadługo od niej samej, gnanej wyrzutami sumienia.

W dalszym ciągu starają się oboje wspólnemi siłami puścić w niepamięć jej wykolejenie się, tem więcej, że Adam, jak sam to czuje, jest współwinnym zapomnienia się żony. Nie udaje im się to jednakże, gdyż cień Zarudzkiego zagradza im drogę do istotnego porozumienia się. A przytem ogarnia Adama chęć nowego „eksperymentowania“. Jest ciekawy, czy Nela nowej jakiejś pokusie umiałaby się oprzeć. Robak nieufności zakrada się do jego serca i wgryza do duszy. Nie sposób mu już odzyskać dawnej swobody myśli, przestaje nawet tworzyć, przeczuwa zanik talentu. Nela widzi ostatnią deskę ratunku w podróży na południe. Sprzedaje klejnoty familijne i za uzyskane stąd pieniądze udaje się z Adamem do Włoch. Zwiedzają Fiume, Ankonę, Rzym, Neapol, Positano, — naprożno! Po powrocie do domu znowu dawne mary powróciły i oplątały duszę Adama, na nic wysiłki Neli, na nic odbyta podróż, — pozostaje im jedno tylko jeszcze, coprawda bardzo radykalne le-

stnienia myśli tej, zrodzonej wśród szerokich kół włościaństwa powiatu tarnobrzeskiego, a wszystkie Redakcye pism polskich o powtórzenie niniejszej odezwy i pośrednictwo w zbieraniu składek.

Skarbnikiem Komitetu jest p. Ludwik Kuryłło w Dzikowie (Galicya).

Niechajże poeta, który głosi zgodę i miłość wszystkich stanów — od wszystkich stanów otrzyma zaszczytną nagrodę; niechaj spłacheć własnej ziemi orze ten śpiewak ludowy, który ukochał całą ziemię polską „od morza do morza.“

Od Redakcyi. Zachęcamy naszych czytelników wszystkich stanów, mianowicie włościan, aby licznemi choćby drobnemi składkami przyczynili się do urzeczywistnienia tej pięknej i rzeczywiście wzniosłej myśli.

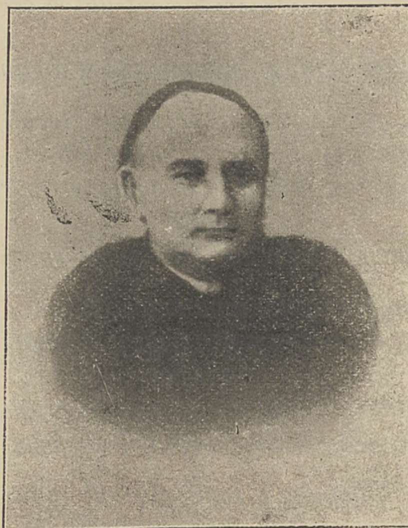


Z żałobnej karty.

Ś. p. ks. Józef Odrowski.

Wskutek śmierci ś. p. ks. Józefa Odrowskiego, proboszcza parafii św. Jakóba w Toruniu, poniosło społeczeństwo polskie Prus Królewskich wielką szkodę, prawie powiedziećby można klęskę; ubył nam bowiem wzorowy kapłan, niepośledni i nieznużony pracownik na niwie kościoła, kapłan pełen powagi u swych braci-kapłanów, a zarazem dobry Polak, zajmujący się zawsze naszemi sprawami, tak opłakanemi i smutnemi i potrzebującemi dziś mianowicie podpory, rady i współdziałania. A całe życie jego to łańcuch, — za krótki możnaby powiedzieć, bo trochę zawcześnie się urwał — i pracy i troski o dobro braci katolików i Polaków.

Urodzony w Chełmnie dnia 4-go sierpnia 1847 r. z rodziny od dawna w



† Ks. Józef Odrowski.

Prusiech znanej i licznie rozgałęzionej, z rodziny mieszczańskiej, nie zbyt bogatej, rzemieślniczej, ale za to pod względem prawości, wiary żywej, bogobojności i przekonań polskich od sławetnych współmieszkańców Chełmna znanej, nie był wcale jakiemś cudownem dziecięciem, ale miał rozum i pojęcie doskonałe i co więcej warte — chęć uczenia się i pilność. Geniuszów, powiada pewien Święty, w piekle bardzo wiele, ale zacnych i pracowitych ludzi pełne niebo — i tę pilność i pracowitość opartą obrał sobie śp. ks. Józef Odrowski. Klasy szkół elementarnych łatwo przebiegł i musiałby może z cztery lata prawie bezużytecznie w najwyższej przebywać, gdyby sąsiad, żyjący po dziś dzień p. Mikołaj Dalkiewicz nie był skłonił rodziców do oddania syna do gimnazyum. Kaznodzieja pogrzebowy ks. proboszcz Doering z Brodnicy słusznie opowiadał, czem gimnazyum chełmińskie w owym czasie było pod kierownictwem tak idealnego i doskonałego pedagoga, jakim był ś. p. dr. Wojciech Łożyński. Co to były za czasy! Nieznano tam bynajmniej jakiejś nienawiści rasowej; szczucie, podłe denuncyacye, podejrzliwości nie istniały wcale, — wszyscy bez wyjątku czcili swego dyrektora, żyli z sobą po koleżeńsku, uczyli się pilnie — prawdziwi to filomaci, ale i filareci; i gdy dziś się spotkają osiwiali naturalnie koledzy z owych czasów gimnazyalnych, to najprzód wspominają owego przezacnego i dla każdego ucznia wylanego dyrektora, a potem tak serdecznie rozmawiają, jakby ich nic nie dzieliło: ni wiara, ni narodowość, ale to wspomnienie pobytu w Chełmnie zdaje się być cementem, co ich jeszcze łączy; a kiedy trzeba się żegnać, to pożegnanie jest takie szczere, takie kordyalne, że łza w oku się zakręci na tę myśl.

A dziś jaka bardzo smutna zmiana — a my może już nigdy się nie zoba-

---

karstwo na ukojenie cierpienia moralnego... śmierć. Giną tedy oboje dobrowolną śmiercią...

Budowa utworu nieco jest skomplikowana. Autor nie przesuwa przed naszem okiem duchowem kolejno wypadków aż do dramatycznego rozwiązania, lecz zawiadamia nas już w początku o tragicznej śmierci swoich bohaterów. Otóż zjechał na pogrzeb Poreckich stary przyjaciel Adama z czasów uniwersyteckich i znajduje w spuściźnie po zmarłych zapiski Adama i Neli. Te pamiętniki stanowią następnie właściwe jądro powieści w takim układzie, iż po każdym ustępie z zapisków Adama następują notatki Neli z tych samych czasów. Tu podpada nieco, że Adam, który nawet w obliczu śmierci nie zapomina nakręcić zegarka i spojrzeć na barometr, nie zniszczył owych pamiętników, tylko pozostawił takie kompromitujące zeznania na pastwę języków ludzkich. Tłumaczy to autor dość przekonywająco w ten sposób, że Adam pomimo drobiazgowego przygotowania się do aktu śmierci, aż do ostatniej chwili nie wierzył w jej możliwość, a im bliższą ona była, tem większą i tęsknota za życiem. To też przyszła ta śmierć niemal niespodzianie. W każdym razie dobrze się stało, że notatki owe zostały zachowane, gdyż bez nich nie mielibyśmy podobno niniejszej powieści. A byłoby szkoda: pomiędzy temi suchemi na pierwszy rzut oka zapiskami męża i żony, — ta ostatnia notuje swoje wrażenia w książce wydatkowej, dla tego mieszczą się tu i rachunki z kucharką i praczką — odnajdujemy bowiem z wielką prawdą odtworzone wstrząśnienia życiowe tych dwojga. Ów „eksperyment literacki“ Adama nie odrazu coprawda przemówi do przekonania czytelnika, atoli pewne wątpliwości muszą upaść, jeżeli zważymy, że idzie tu o naturę niecodzienną, żądną wrażeń i wzruszeń niezwykłych. Mniej wyraźnie narysowany jest Zarudzki, lepsze są inne postacie powieści grające tylko role epizodyczne.

Wogóle niektóre nieznaczne braki utworu wynagradza nam sowicie nastrój poetyczny, który musi wywołać w czytelniku jasny oddźwięk. Autor, bardzo wrażliwy na piękno przyrody, nie pomija żadnej sposobności, aby nam uchylić rąbek zasłony artystycznej swej duszy, za co powinniśmy mu być wdzięczni.

Poetyczne opisy wsi polskiej oraz malownicze obrazy z włoskich miejscowości należą też do piękniejszych kartek utworu. Największą jednakże jego zaletę stanowią, jak już wspomnieliśmy, głęboko odczute a subtelnie oddane przeżycia duchowe głównych bohaterów. Było też niewątpliwie intencyą autora napisać w pierwszej linii psychologiczne studyum, podczas gdy w powieści „Malarze“ obok wnikania w dusze współczesnych artystów położył główny nacisk na odmalowanie ich środowiska jako takiego.

Styl „Literata“ barwny i potoczysty; całość czyta się, nawet mimo swej formy ściśle pamiętnikowej (zwykle nużącej), bardzo przyjemnie. Z prawdziwą satysfakcyą konstatujemy piękny postęp w twórczości powieściopisarskiej utalentowanego poety.

. . . .

Marya Rodziewiczówna, sympatyczna autorka „Strasznego dziadunia“, „Dewajtisa“, „Szarego prochu“ i wielu innych powieści, obdarzyła nas tym razem zbiorem drobniejszych utworów p. t. *Rupiecie.* Wobec tego skromnego tytułu należy zaznaczyć, że nowele w tym tomie zawarte bynajmniej nie są „rupieciami“, lecz odznaczają się zwykłą u tej autorki szlachetną tendencyą, która przyświeca wszystkim dotychczasowym jej utworom, cieszącym się wielkiem powodzeniem bez względu na to, że nie zawsze stały one pod względem artystycznym na wysokości zadania. Bo, — wyznać należy, — autorka nasza nie troszczy się zbytnio o arty-

czymy. W takiem to otoczeniu, w takim duchu wzrastał i uczył się ś. p. ks. Józef Odrowski i ta zacność, te cnoty, których był naocznym świadkiem, wpiły się w jego duszę, niemi przepojony został umysł, przesiąkło usposobienie na zawsze, na całe życie. Latem roku 1868 zdał abituryencki egzamin a w październiku tegoż roku wstąpił do dyecezalnego seminaryum, by się oddać studyom teologicznym; dnia 7-go lipca 1872 został wyświęcony na kapłana przez ś. p. ks. biskupa Jana Marwicza; z 18 rówieśników jego żyje obecnie już tylko sześciu. Pierwszem polem działania nieboszczyka były Subkowy, gdzie krótki czas, bo tylko dziewięć miesięcy przebywał; już pierwsze strzały walki kulturnej się odezwały, ale kilka dni przed ich „prawomocnym“ wybuchem został nieboszczyk przesiedlony do Chojnic. W onym czasie to wikaryat i w Subkowach i w Chojnicach uchodził za nadzwyczaj przykry i młodzi księża trochę drżączki dostawali na samą myśl, że Władza Biskupia ich tam posłać może, ale ś. p. ks. Józef Odrowski tak umiał się brać, tyle taktu posiadał, tak sumiennie pracował, że ci jego proboszczowie żyli z nim w jak najserdeczniejszych stósunkach i po odejściu jego w późne lata z pewnem uwielbieniem o nim wspominali. Chojnice, toć to niemiecka prawie parafia, ale ten Polak — wikary tak umiał być sprawiedliwym, tak w tych niemieckich parafianach upatrywał swoich braci, tak się o nich troszczył, że nie minęło parę miesięcy, a „unser guter Herr Kaplan“ był na ustach i w pamięci i sercu całej okolicy. Biblioteką dla kosznejderyi on zarządzał, rewizye tej biblioteki policya odbywała, szukając nie wiem jakich tam zbrodni czyich książek i ztąd miał nieboszczyk nieraz przykrości. Były to czasy najzażartszej walki kulturnej: wypędzono Siostry Franciszkanki z Chojnic, a księdzu wikaryuszowi zatrzymano pensyę; tu się pokazało, jaką czcią otaczano młodego kapłana; bo oto zaraz zgłosił się golibroda z chęcią golenia nieboszczyka i to za darmo; nawiasem powiem, że on to zawsze sam własnoręcznie czynił, — inni ofiarowali się z innemi służbami, a inni zajęli się zbieraniem pieniędzy, by wrócić młodemu kapelanowi to, co mu rząd bez przyczyny zabrał. I taki stan. trwał lat dziesięć.

Świadczy to o zamiłowaniu, jakiego zaznawał nieboszczyk w parafii chojnickiej. Było tam rozmaitych profesorów, sędziów, adwokatów, asesorów, lekarzy bardzo wiele, a wszyscy uważali sobie za zaszczyt mieć znajomość a może i przyjaźń z ś. p. ks. Józefem Odrowskim; i ztąd datuje ta chęć, to zamiłowanie do towarzystwa; jakie zawsze okazywał. Gdy po długich latach zawitał raz do Chojnic, gdzie Towarzystwo śpiewackie kościelne obchodziło 25-tą rocznicę swego założenia przyjęto go z wielką chwałą i jego zdrowie na pierwszem miejscu wyniesiono. Gdy Bismark uczuł, że przegrał walkę kulturną i srogość jej ograniczono, opuścił ś. p. ks. Odrowski Chojnice.

Nie należy bynajmniej przypuszczać, że on w tem niemieckiem otoczeniu zapomniał swego polskiego pochodzenia, przeciwnie zajmował on się Polakami w Chojnicach gorliwie, o ile się dało prawił im polskie kazania, starał się zawsze o dobry wynik wyborów dla nas — czynił, co mógł, a mógł wiele, bo w lutym roku 1884 umiera na paraliż serca w Kościelnej Jani ks. proboszcz i dziekan nowski Paweł Warmke. — Władza Biskupia posełа tam ś. p. ks. Józefa Odrowskiego na administratora; patron tego kościoła poznawszy znakomite cnoty, zacność, gorliwość i pracowitość nieboszczyka, daje mu zaraz prezentę na Kościelną Janią i dnia 17-go sierpnia 1886 otrzymuje nieboszczyk razem z bratem swoim instytucyą, pierwszy na Kościelną Janią, drugi na Nawrę, gdzie dotąd przebywa, z rąk ś. p. ks. biskupa co dopiero nominata Leona Rednera. Była to od lat 13 pierwsza instytucya na probostwo prywatnego patronatu, gdyż dotąd „prawa“ majowe na to nie zezwalały. Odtąd rozpoczęły się prace na wiejskiej parafii, gospodarowanie na roli i te wszystkie przyjemności i nieprzyjemności, które praca pasterska z sobą przynosi. Porządek lubiał nieboszczyk wielki; dziur zarwanych ścian lub uszkodzonych dachów nie znosił, co było potrzeba budował; o ochędostwo i ozdobę kościoła dbał bardzo, o nowe organy dla kościoła się wystarał, a co dziwna, że wszędzie, gdzie był pasterzem, puszki do Najświętszego Sakramentu sprawiał i zwykł wtedy przyganiać parafianom: „Pan Jezus u was nie ma dobrze.“ Gdy ś. p. ks. Wojciech Lesnau trapiony chorobami podziękował za probostwo w Pieniążkowie, poprosił o nie nasz nieboszczyk: był on już wtedy dziekanem nowskim, bo po śmierci ś. p. ks. kanonika, dziekana nowskiego, a proboszcza w Komórsku Jana Nelkiego, obrali go księża dekanalni swym dziekanem, a jako taki miał prawo wybrać sobie probostwo opróżnione i uczynił to też w wrześniu roku 1895. — I tu tak samo starał się o dom Boży, odnawiał ołtarze, ład zaprowadzał w czem mógł, uczył dzieci, całemi dniami przesiadywał w konfesyonale, mianowicie wtedy, gdy robotnicy opuszczali parafie, albo gdy do niej jesienią powracali. Budynki gospodarcze przebudowywał, szpital zbudował — a to wszystko w krótkim czasie, bo już w roku 1899 przenosi się na probostwo św. Jakóba do Torunia. Pasterzowanie w tak wielkiej, rozległej parafii, jaką jest pie-

---

styczne zaokrąglenie swoich pism, o czem zresztą sama wie dobrze, skoro kiedyś z okazyi jakiejś ankiety, pragnącej zbadać istotę i zadanie *powieści* wyraziła się mniejwięcej tak: „Nie zastanawiałam się nigdy nad kwestyami co do sposobu tworzenia powieści itd. Piszę, jak śpiewa kosarz na polu między jednym przekosem a drugim, żeby ramiona wypoczęły. Gdy go spytasz z jakiego tonu — wzruszy ramionami. Tak i ja tworzę, nigdy nie poprawiam, nie kreślę ani przepisuję pomimo jednogłośnego zdania krytyki, że niedbale opracowuję. Nie mam też na to czasu, gdyż nie uważam się za powieściopisarkę z zawodu, tylko tak — z wypadku“.

Ta autokrytyka jest szczerą i prawdziwą. Czytelnik zaobserwować może słuszność tych uwag autorki w każdym niemal jej utworze. I „Rupiecie“ nie stanowią pod tym względem wyjątku. Obrazki te zdają się być naszkicowane w chwilach wolnych od innych zajęć autorki. Ot, tak od niechcenia rzucone na papier. Pomimo to noszą na sobie dodatnie cechy pióra Rodziewiczówny. Nasze serce zdobywa zaraz na wstępie pierwsza nowela, nadająca tytuł zbiorkowi; przedstawia ona zacną matronę, która po śmierci młodszego, ukochanego syna odrzuca świetne propozycye starszego, dążące do polepszenia jej losu, a pozostaje — rzecz dzieje się w zapadłym kącie gubernii Witebskiej — w starej ruderze, ale pośród pamiątek (starszy syn zwie je rupieciami) po zmarłym. Tu pragnie pielęgnować jego ideały i czynić dobrze...

Prostotą, a jednak siłą wyrazu odznaczają się i dalsze obrazki, np. „Lamus“, albo owa historya pisarza sądowego, Polaka, przebywającego w służbie rosyjskiej, u którego po długim letargu obudziło się sumienie narodowe i religijne, więc „choć późno, ale jednak poznał, kim był i uczciwie na Polaka egzamin zdał — i przed śmiercią Królowej w Częstochowie pokłon złożył“ („Jan Borucki“). — Z kilku innych nowelek przebija głęboka litość dla pokrzywdzonych przez los osobników. („Tak zwani głupi“, „Bajka o głupim Marcinie“, „Hryc“).

Reszta obrazków i szkiców dostraja się treścią, ciepłym kolorytem i zacną ideą przewodnią do tamtych, poprzednio wymienionych. „Rupiecie“ bez wątpienia podobać się będą czytelnikom szukającym w utworze beletrystycznym głębszej myśli i zdrowej, nie narzucającej się natrętnie tendencyi.

Tadeusz Mielcarzewicz.



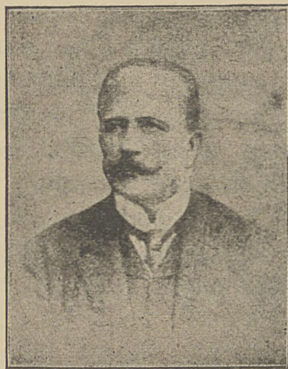
niążkowska, jest arcytrudnem i przechodzi prawie siły jednego kapłana, jeżeli chce wszystko sumiennie wykonać. A tu od kilku lat trapiła nieboszczyka choroba cukrzycą zwana.

W Toruniu jakim był pasterzem? Wszyscy, którzyśmy go znali i patrzeli na jego działalność, musimy powiedzieć: był to wzorowy kapłan.

W polskiem życiu brał nieboszczyk udział czynny zawsze; występował na wiecach bardzo często, a za to nieraz obrzucano go błotem i wyzwiskami mu odpłacano, oczerniano po gazetach. Aleć on znosił to bez żalu, czynił dobrze, należał do wielu, wielu stowarzyszeń, wspierał, dawał ile mógł i mówił: ja się cieszę, kiedy mogę dać.

Kościół św. Jakóba, to misterne arcydzieło sztuki, niestety trochę w toku wieków zaniedbane, martwiło nieboszczyka, więc postawił sobie za zasadę życia, kościół gruntownie wyreperować. Każdy wie, ile to trzeba pisania i zabiegów, by nareszcie przywieść regencyę do tego, by się do słusznych naszych wymagań zastosowała; lata całe zabiegał nieboszczyk, by w końcu wykołatać przyznanie i potrzebę reperacyi, a kiedy już był tak daleko, że możnaby prace rozpocząć, otóż giną rysunki i plany i znów z nowa rozpoczynać trzeba; dziś dokoła kościoła rusztowania, na zewnątrz to i owo zrobiono, na cmentarzu flizy złożone, ale daleko jeszcze do końca. A tego końca tak pragnął nieboszczyk, tak się cieszył na samą myśl, jak pięknie będzie jego kościół wyglądał, jak cała okolica zgromadzona na wielkim odpuście Matki Boskiej Szkaplerznej, cieszyć się będzie wspaniałością tego znacznego domu Bożego. Niestety nie zostało mu danem, tę ulubioną swoją myśl, te swoje plany — widzieć urzeczywistnione.

Wspaniały był pogrzeb; był to pochód tak długi, tak szeroki, że przejrzeć go nie było podobna; metalowa trumna spoczywała na karawanie ciągnionym przez cztery konie, ubrane w żałobne kapy i pióropusze. Na cmentarzu odśpiewał celebrans, brat nieboszczyka ks. proboszcz Franciszek Odrowski z Nawry wraz z księżmi, których sześćdziesiąt naliczono, ostatnie modły i „requiescat in pace,“ a kiedy po „Witaj Królowa“ chciał podziękować wszystkim uczestnikom, za wspaniały pogrzeb, którego żaden biskup nie potrzebowałby się powstydzić, — to biedakowi głos zadrżał — urwał się — łzy mu oczy zalały i bracia kapłani musieli jego modlitwę dokończyć. R. i. p.



Poseł Dr. Władysław Dulęba, nowy minister dla Galicyi.

Ekscelencya Dawid Abrahamowicz ustąpił z fotelu ministra dla Galicyi, portfel po nim ma objąć wiceprezes Koła polskiego, poseł Dr. Władysław Dulęba. Przyszły minister dla Galicyi jest Lwowianinem i adwokatem z zawodu. Należy do stronnictwa demokratycznego, które kandydaturę jego na ministra postawiło w Kole polskiem



Z teatru.

Wiliam Szekspir: „Hamlet“.

„Hamlet“ należy do rzędu najwspanialszych tragedyj nieśmiertelnego Szekspira, a ponieważ ten Anglik jest największym dramatopisarzem świata, mamy w „Hamlecie“ arcydzieło, zajmujące w literaturze światowej zupełnie wyjątkowe miejsce.

O „Hamlecie“ napisano tyle dzieł krytycznych, studyów filozoficznych, artystycznych, i analiz literackich, że bodaj jedno życie ludzkie starczyłoby na to, by to wszystko przestudyować i przetrawić. Nie liczymy w tem oczywiście mniej lub więcej interesujących rozbiorów i impresyj, jakie każdy szanujący się krytyk-esteta zamieszcza w łokciowych felietonach w mniej lub więcej poważnych pismach peryodycznych. Nie ma bowiem publicysty, piszącego o teatrze, któryby nie uległ pokusie dorzucenia swych — oczywiście zawsze oryginalnych — spostrzeżeń na temat tej niespożytej i wieczyście aktualnej postaci, jaką jest „Hamlet.“ Słowem literatura dotycząca „Hamleta“ wprost potworne przybrała rozmiary. Konkurować z nią może jedynie getejski „Faust,“ drugie takie arcydzieło fenomenalne, druga taka nieprzebrana kopalnia dla niezmordowanej spekulacyi uczonych filozofów sztuki.

Nie naszym zamiarem pisać o tragedyi samej, jako o dziele sztuki. Również nie będziemy analizowali charakteru bohatera. Uczynili to inni przed nami i lepiej, jakbyśmy to zrobić mogli.

Nas interesuje przedstawienie, a więc twórcza praca artystów, mających w tej sztuce szerokie pole do popisu. Odnosi się to do wszystkich ról, przedewszystkiem zaś do samejże roli tytułowej. Objął ją p. Andruszewski, benefisant sobotniego wieczoru. Zaraz z góry zaznaczyć winniśmy, że nie była to kreacya zupełnie wykończona, jednakże podnieść należy, że artysta bardzo sumiennie przemyślał i przetrawił swą rolę. Tak, jak on ją pojał, oddał ją konsekwentnie w ogólnych zarysach. W szczegółach uwydatniały się pewne nierówności, pewne braki w wyrzeźbieniu i uwypukleniu ich. Tak np. nie dość silna była scena z duchem ojca. Tymczasem właśnie w tej scenie powinien artysta, grający Hamleta, za pomocą mimiki, za pomocą bolesnych dyskretnych okrzyków, podkreślających niektóre słowa ojcowskiego widma, wzruszyć widzów do głębi. Nie na ducha, lecz na Hamleta patrząc, powinniśmy mieć złudzenie, że mamy przed sobą rzeczywistego upiora. Lęk powinien iść na nas nie tyle od postaci starego Hamleta, ile sugestionować go powinna niema gra syna, w którym każdy nerw dygoce na widok nadprzyrodzonego zjawiska, na wieść o okrutnym jego losie za życia i po śmierci... Tego jednak próżno szukaliśmy w tej scenie. Również owa scena, gdzie Hamlet kruszy sumienie matki, pozbawiona była potężniejszych akcentów. I na innych punktach byłoby niejedno do nadmienienia. Nie powiedzielibyśmy, żeby Hamlet w interpretacyi p. Andruszewskiego wogóle był wypadł blado, wcale nie, owszem była to nawet z rozmaitych względów interesująca, a chwilami świetna kreacya, lecz brakło jej w ważnych momentach tego najwyższego i najgłębszego tragicznego tonu, który jest niezbędny w tej nieskończenie trudnej roli.

Ofelię grała pani Sznagowa z wielkiem powodzeniem. Szczególnie scena obłąkania wypadła dobrze. Niestety zepsuł ten nastrój Laertes p. Kęckiego, który wcale nie był owym patetycznym mścicielem śmierci rodzica, którym być powinien. Nawet widok obłąkanej siostry nie potrafił z niego wycisnąć głębszych akcentów bólu. Zupełnie położył Klaudyusza pan Bogusiński, którego rola pod ołówkiem reżysera, dziękować Bogu, zmalała do minimum. Artysta ten, skądinąd nieoceniony, do tego rodzaju ról absolutnie się nie nadaje. Bardzo miernym Horacym był p. Boroński, to samo należy powiedzieć o królowej panny Her-

burt. Dobry był p. Szatkowski w roli aktora, także p. Sławińska była na miejscu, jakoteż panowie Czaki i Justian w epizodycznych rolach grabarzy. Na zaszczytną wzmiankę zasługują jeszcze p. Czerniak tudzież p. Junosza, który objął trudną rolę Poloniusza i wypracował ją bardzo starannie, jakoteż p. Andrzejewski w roli starego Hamleta.

Pomniejsze role w odpowiednich były rękach.

Sztuka wyreżyserowana była dobrze, inscenizacya tymczasem szwankowała nieco, podobnie jak pamięć niektórych artystów. Jakkolwiek przykro nam bardzo, lecz nie możemy powiedzieć, żeby sobotnie przedstawienie do najlepszych należało. Pan Andruszewski wybrał na benefis swój rzecz znakomitą, świadczącą dodatnio o jego aspiracyach artystycznych, jednakże wyszła ona w sobotniej obsadzie ról, jako całość, bardzo miernie. W „Hamlecie“ nie starczy bowiem, by tylko najgłówniejsze role dobrze były reprezentowane.

R.



Ze Salonu sztuki.

Zeszłej niedzieli nastąpiło otwarcie wystawy obrazów w naszym Salonie przy ulicy Bismarcka pod nowemi auspicyami.

Jak wiadomo nastąpiła gruntowna reorganizacya Towarzystwa Sztuk Pięknych, stworzono także jury, decydujące o przyjęciu obrazów na wystawę jakoteż o racyonalnem ich rozwieszeniu.

Należy przyznać, że zmiany te wyszły na dobre tej jedynej naszej instytucyi, pielęgnującej u nas kult sztuki plastycznej. Znikły ze ścian rozliczne bohomazy i inna częstochowszczyzna, rozpościerająca się pretensyonalnie po cierpliwych murach naszego Salonu, znikły niestety także artystyczne wycinanki Gwozdeckiego, które zdobiły fryz. Natomiast pojawił się cały szereg bardzo poważnych płócien i kartonów pierwszorzędnych mistrzów, prawdziwe dzieła sztuki, które dotąd tylko skąpo płynęły na wystawę naszą.

Poznań będzie wdzięczny za ten nowy dorobek kulturalny. Publiczność nasza bowiem lepsza jest, jak jej renoma. Także u nas jest spory zastęp ludzi, którzy interesują się szczerze sztuką prawdziwą i może właśnie dla tego stronią od miejsc, które zamiast dzieł sztuki podają ich surogat. Miejmy nadzieję, że nowe Towarzystwo Sztuk Pięknych będzie potrafiło nie tylko utrzymać Salon nasz na poziomie, na jakim się znalazł obecnie, lecz że dołoży nadto starań, by poważnej jakości wystawionych dzieł sztuki odpowiadała także ilość pokaźna.

Wystawa — jak się już rzekło — dobre robi wrażenie. Obrazy są dobrze dobrane i ze smakiem rozmieszczone. Harmonia całości nie razi żadnym jaskrawszym dysonansem. Chyba monitować by można niefortunne rozmieszczenie kilku maleńkich pejzażyków, które mącą ciszę i nastrój idący od „Wilka“ Wierusz Kowalskiego, nawiasem powiedziawszy, dzieła pierwszorzędnej wartości artystycznej. Zresztą nie podpadło nam nic takiego, na co pragnęlibyśmy zwrócić uwagę. Prawda! Niepraktyczne umieszczenie spisu obrazów na drzwiach! Zalecałoby się albo podpisy pełne umieszczać pod samym obrazem, co jest dla publiczności najwygodniejsze, albo też wydawanie osobnych katalogów. Żądać zaś, by publiczność ustawicznie chodziła od obrazu do drzwi i odwrotnie, by się dowiedzieć tytułu obrazu — jestto narażać jej cierpliwość na zbyt wielką próbę.

O dziełach, wystawionych w Salonie, można tylko z małemi wyjątkami z najwyższem się wyrazić uznaniem. Są to płótna i kartony malarzów tej miary, co Julian Fałat, Wierusz Kowalski, Włodzimierz Tetmajer, Wyczółkowski, Vlastimil Hofman, Wywiórski Michał itd. Imiona głośne, niektóre z nich powtarzane z zachwytem przez współczesnych. Zatem i dzieła tych artystów mają widzowi bardzo dużo do powiedzenia. Zamiast rozpisywać się już dziś o nich szeroko wolimy zachęcić szanownego czytelnika do zwiedzenia wystawy, a odniesie tam trwałe wrażenia, nie zmącone sugestyą czernidła drukarskiego.

Szczegółowe sprawozdanie rezerwujemy sobie do jednego z przyszłych numerów „Pracy.“

* * *

Będąc w środę w Salonie Sztuki, podpadła mi spora paczka „Kuryera Pozn.“, spoczywająca na stoliku.

— Co to — miliony „Kuryera“ abonujecie?

— Nie, to krytyka Acera. Wyślemy ją artystom, którzy wystawili obrazy.

Biorę numer i patrzę. Krytyka przydługa, lecz czytam. Dowiaduję się zaraz na wstępie, że „nasza atmosfera artystyczna i intelektualna podniosła się o pół tonu“, gdyż razem z nową wystawą, w zarządzie której — nawiasem mówiąc — i szanowny Acer swój ważki głos na szale doniosłych kładzie postanowień — „i do naszych smętnych przystani przenika promień słońca, ton swobodny, myśl młoda i nikłą (dlaczego koniecznie nikłą? — Red.) swą przędzą złotą osnuwa poważne, siwe zasady wielkopolskiego narodku“.

Po tym hejnale — gorżka reminiscencya, zaprawiona niezrównaną kurtuazyą dla „braci — sit venia verbo — literackiej.“ Czytajmy: „Trudno — biada nasz sympatyczny Acer — od razu zmienić wszystkich zwolenników starego porządku, zwłaszcza, że nie brak tego rodzaju okazów i między naszą bracią — venia sit verbo — literacką, która nie zupełnie rozumie, poco Salon sztuki, zarząd, wydział rzeczoznawczy i tym podobne figle, bez których spokojnie pić można kawę i grywać w domino. A jednak — o zgrozo!— byli tacy rewolucyoniści, co poszli mimo nich i coś podobnego za wzorem Krakowa i innych stolic świata w Poznaniu stworzyli. Tłumią dzisiaj gniew w zatłuszczonych sercach rycerze pióra i z ukosa patrzą na te zmiany, które im spokój zakłócają i do wysiłków myślowych zmuszają.“

Acer snać mało podobny jest do fiołka, kwitnącego w ukryciu, powyższy ustęp świadczy bowiem wymownie o dobrem wyobrażeniu, jakie czcigodny autor ma o sobie. W każdym razie postąpił sobie z wyszukanym taktem i wytworną grzecznością odsuwając swoją cenną osobę daleko od „braci — venia sit verbo — literackiej“ i wystawiając jej tyle pochlebne świadectwo...

Nieprawdaż?... *R.*



Paula Wężyk.

Na często się powtarzające prośby licznych wielbicielek naszej pieśniarki wielkopolskiej, domagających się umieszczenia jej podobizny w łamach „Pracy,“ użyliśmy całej naszej wymowy, by przełamać skrupuły naszej cennej współpracowniczki i uzyskać nareszcie przyzwolenie na umieszczenie jej podobizny.

Wiemy, że zaspakajamy w ten sposób gorące życzenia licznych nadobnych czytelniczek naszych. Panna Paula Wężyk, urodziła się w Kępnie, jako najmłodsza z sześciu córek ś. p. Pawła Wężyka i małżonki jego Eleonory z Kamockich. Po katastrofie r. 1863, która pomiędzy innemi pochłonę-

ła także majątek państwa Wężyków, w Królestwie Polskiem położony, przenieśli się rodzice p. Pauli do księstwa. Matka z rodziną zamieszkała w Kępnie, ojciec zaś zawiadował majątkiem brata swego w Myjomicach.

Talent poetycki już od najmłodszych lat objawiał się u panny Pauli Wężyk. Już jako 12-toletnia panienka uzyskała nagrodę na konkursie war-

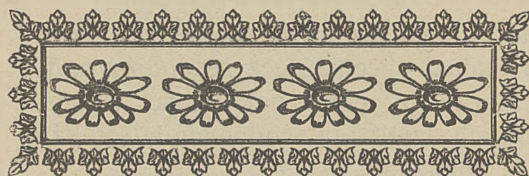


Paula Wężyk

szawskiego pisma „Wieczory rodzinne.“ Od tego czasu pozostała wierną poezyi. Na szerszą widownię wystąpiła dopiero przed sześciu laty, publikując swe poezye w „Dzienniku Poznańskim.“ Prawie równocześnie zaczęła zasilać pracami poetyckiemi „Przewodnik katolicki,“ w którym stale współpracuje do dziś dnia. Również liczne pisma galicyjskie drukują jej piękne wiersze. W „Pracy“ pojawiały się także już dawniejszemi laty prace p. Wężyk, lecz dopiero za obecnej redakcyi t. j. od półtora roku czytelnicy nasi częściej mają sposobność czytywać jej wiersze. Część poezyi p. Wężyk pojawiła się nakładem księgarni św. Wojciecha w Poznaniu w osobnej książeczce, lecz nakład zupełnie jest wyczerpany. Szczegół ten świadczy wymownie o sympatyi, jaką się cieszy szanowna autorka, która potrafi tak rzewnie przemawiać do serca czy to, gdy opisuje krasę ziemi naszej, czy gdy zanuci hymn na cześć Matki Bożej, czy też, gdy opiewa niedolę ojczyzny, nadzieją lepszej przyszłości krzepiąc duszę czytelnika.

Poezye p. Pauli Wężyk noszą wybitne piętno religijne i patryotyczne tj. łączą te dwa pierwiastki, które od wieków zgodną nutą dźwięczały w duszy polskiej i dzisiaj harmonijnie w niej dźwięczą i da Bóg pozostaną na zawsze najgłębszą jej cechą.

Na tem kończymy krótką tę wzmiankę dodając, aby już spełnić wszystkie życzenia, że p. Paula Wężyk mieszka w Poznaniu ul. Piotra 9 a.



Wieczornica kaszubska

Staraniem kilku wybitnych osób odbyła się w Poznaniu dnia 7-go marca wieczornica kaszubska, której celem było zainteresowanie publiczności naszej tym skrawkiem ziemi polskiej, położonej nad Bałtykiem i ludem go zamieszkującym. Dochód z tego wieczora przeznaczono na cele oświatowe na Kaszubach.

Słowo wstępne, oraz opis brzegu kaszubskiego nad ujściami Wisły, ilustrowany za pomocą obrazów świetlnych, wygłosił p. poseł Chrzanowski. Dr. Aleksander Majkowski z Kościerzyny odczytał interesującą pracę o brzegu kaszubskim nad ujściami Łaby i Łupawy. Pan Dr. Schröder zadeklamował kilka wierszy w dyalekcie kaszubskim. Pod koniec mieliśmy solowy i chóralny śpiew kilku pieśni kaszubskich o wybitnym słowiańskim charakterze.

Był to wieczór pod każdym względem interesujący i pouczający. Szczególniejsza wdzięczność należy się panu posłowi Chrzanowskiemu, który bardzo szczegółowo zwiedził Kaszubszczyznę i zebrał obfity materyał ilustracyjny za pomocą własnoręcznie wykonanych fotografii. Życzyć by należało, żeby podobne odczyty o Kaszubach z obrazami świetlnemi odbywały się także w licznych towarzystwach naszych, albowiem o ludzie i kraju kaszubskim bodaj mniej jeszcze wiemy, jak o Mazurach, a o tych podobno także nie zbyt wiele. A przecież jest to lud katolicki i szczerze przywiązany do polskości. Jak wiadomo tworzy Kaszubszczyzna zupełnie pewny okręg wyborczy, z którego od lat wybieranym bywa poseł do Koła polskiego. Przytem jest to jedyny kraj z rdzennie polską ludnością położony nad morzem, które — jak wiadomo — łączy ludy i kraje całego świata, wskutek czego wszystkie narody starają się o dostęp do morza. My, którzy go mamy, aczkolwiek tylko na szczupłej przestrzeni, powinniśmy baczyć, byśmy go nie stracili.





Wystawa łowiecka
w Poznaniu.

Z zadowoleniem wielkiem może patrzeć komitet wystawy na dzieło swoje, — pisze „Dziennik Pozn.“ — bo pierwsza wystawa Towarzystwa Łowieckiego przeszła oczekiwania ogólne, przedewszystkiem doborem okazów. Z wielkim bardzo gustem urządzona zadowolnić musi pod wszelkim względem prawdziwego myśliwego, bo przebija się z niej najwidoczniej, że i ci, co ją urządzali i ci, co wystawiali, prawdziwymi są nemrodami.

Pomiędzy wieńcami jeleni widzimy kilka bardzo ładnych okazów, ale przedewszystkiem pomiędzy porostkami rogaczy znajdujmey dużo bardzo okazów tak bardzo pięknych, że na każdej i na największej wystawie lepszych spotkać nie można.

Żałować bardzo należy, że względnie udział myśliwych naszych w wystawie nie jest bardzo liczny; byłoby się znalazło bez wątpienia jeszcze wiele więcej okazów wartych pokazania. Ale i z tego co jest, przebija się najwidoczniej, jak bardzo podniósł się stan sarn u nas i z jaką umiejętnością prawdziwi myśliwi hodować je umieją.

A ten przedewszystkiem obraz wystawa taka dawać powinna.

Wiele bardzo do urozmaicenia i przerwania monotonności dla zwiedzających wystawę niemyśliwych przyczyniają się okazy wypchane zwierząt i ptastwa ubitego, jak również trofea zdobyte po za granicami naszej dzielnicy. Rozmieszczone bardzo umiejętnie i gustownie, przywabić muszą nawet tę publiczność, która piękności, ani wieńca, ani porostka ocenić nie umie.

Wystawiona broń myśliwska, poddana pod ocenę znawców, musi być już z natury rzeczy wyborem tego, co nasi rusznikarze wyrabiają; a chociaż trudno na oko wydawać o niej sąd miarodawczy, o ile pewne doświadczenie do oceny jej uprawnia, nie ustępuje wyrobom zagranicznym.

Wystawę uzupełniają najrozmaitsze przybory myśliwskie, dalej siodła, uprzęże itd., jednem słowem to wszystko, co do polowania potrzebne i użyteczne.

A że myśliwy potrzebuje po trudach spoczynku, mamy i bardzo ładne umeblowanie pokoju myśliwskiego i obrazy o motywach myśliwskich dla przyozdobienia jego.

* * *

Wystawa potrwa — jak wiadomo — do 14 bm. Obecnie jest otwartą także wieczorem aż do godz. pół do 8 przy oświetleniu elektrycznem. Spodziewać się należy, iż publiczność skorzysta jeszcze z ostatnich dni i zwiedzi licznie wystawę w nowo wzniesionym pawilonie ogrodu zoologicznego.

Z wystawców zasługuje na wyszczególnienie pomiędzy innemi broń pp. *Spechta, Jaruszewskiego i Winieckiego* z Poznania, oraz *Nakulskiego* z Gniezna, wspaniały powóz łowiecki p. *Tomasza Laubego,* siodła, torby myśliwskie itd. p. *Cichockiego,* misterne wyroby rytownicze p. *Karola Kandziory,* ubiory myśliwskie pp. *St. Brzeskiego, Świgonia i Frąckowiaka* z Poznania, przeszło 80 rodzajów noży myśliwskich p. *Edwarda Kargego* z Bazaru. Nadto wystawili i zasługują również na wyszczególnienie pp. *Kasprowicz* z Gniezna nalewki, *Bok* obuwie, *Rose i Pankowska* papiery z emblematami myśliwskiemi, *Sroczyński,* piękny salon myśliwski, *Żurawski,* wyroby złotnicze, *Droste* papierosy, a *Gryf* nawet herby.

* * *

W sprawie powyższej otrzymujemy od Komitetu wystawy następujący komunikat:

Wystawa Łowiecka, połączona z działami sztuki i przemysłu, odbywa się w sali „Ogrodu Zoologicznego“ w Poznaniu. Ostatnie trzy dni, piątek, sobotę i niedzielę wynosi wstępne 50 fenygów od osoby; w niedzielę włącznie koncertu i zwiedzenia zwierzyńca. Wystawa jest otwarta od godz. 9 rano aż do godz. pół do ósmej wieczorem, z nastąpieniem zmroku przy oświetleniu elektrycznem.



Dział kobiecy.

Na czem polega gust w ubraniu?

Co to jest ubierać się szykownie? Krótko mówiąc, jest to umieć się ubrać odpowiednio do swej indywidualności. Kto posiada dobry gust, ten wie, jakie fasony będą najodpowiedniejsze do jego wzrostu i figury, jakie kolory i jaki rodzaj materyału ma wybrać. Niewielu jest ludzi pięknych, a jednak odpowiednim doborem barw i form każda osoba może podnieść powab swej powierzchowności i uczynić ją pociągającą. W orzeczeniu „kobieta elegancka i powabna“ więcej mieści się uznania, aniżeli w słowach: „piękna kobieta,“ gdyż piękność jest tylko jednym z darów bożych, gdy tymczasem dobry gust i elegancyę sami sobie zawdzięczać możemy i są one osobistą naszą zasługą. Jakkolwiek elegancya i estetyczny smak w ubraniu mogą nam być mniej lub więcej wrodzonemi, to jednak potrzeba do rozwinięcia tych zalet pewnego stopnia wykształcenia. Najlepiej to stąd poznać można, że kobiety, które pierwiastkowo mało gustu posiadały i w ubiorze swym go nie okazywały, gdy tylko zaczęły wartość eleganckiego ubrania cenić i sprawie tej trochę staranności poświęcać, potrosze dobrego gustu nabierały.

Chcąc się z gustem ubierać, trzeba przedewszystkiem być zupełnie sprawiedliwym względem samego siebie i podjąć się przed lustrem bezwzględnej krytyki swej powierzchowności. Dopiero, gdy naszą własną postać z jej zaletami i wadami doskonale ocenimy, dojść możemy do tego, ażeby się odpowiednio ubierać. W jednem miejscu trzeba coś podnieść, w drugiem coś ukryć, w jednym kolorze jest nam do twarzy, drugiego — unikać wypada.

Powinniśmy umieć krytycznie ocenić, co w rzeczach ubioru jest nam właściwe, a co nie. Niektórzy ludzie tego poczucia nie mają i posiąść je muszą przez wprawę i ćwiczenie, u drugich ten dar jest wrodzony.

Z pomiędzy rozmaitych narodów najwięcej dobrego gustu posiadają Francuzi. Naturalnie, że w rzeczach ubrania moda ma najwięcej głos rozstrzygający. Ona stawia swe wymagania i w jej ramach, co się tyczy stroju naszej zewnętrznej postaci, trzymać się musimy, jeżeli nie chcemy razić i być śmiesznymi.

Usiłowania zaprowadzenia strojów reformowanych zostawiają wielką swobodę smakowi osobistemu. Zwolenniczki sukien reformowanych powinny swe stroje same obmyślać, gdyż moda daje tylko ogólne ich zarysy. Ale właśnie ta swoboda wymaga bardzo wyrobionego smaku, a kto go nie posiada powinienby raczej prawom panującej mody ulegać. W zastosowaniu osobistych pomysłów wykazuje się stopień pojęć estetycznych, dlatego więc ubranie reformowane jest kamieniem probierczym gustu.

Obok mody, na wybór tualet naszych wpływ mają natura i zwyczaje. Wyliczać wszystkie te prawa byłoby rzeczą zbyt długą, wymienię więc tu tylko niektóre z nich:

Kobiety wysmukłe, szczupłe nie powinny nosić bardzo gładkich, wązkich sukien z gładkiemi i obcisłemi stanikami; dla nich nadają się fałdziste szaty i linie faliste w rysunku sukni, mogą nosić materyały w duże kwadratowe desenie i duże kwiaty, materyały włochate i szorstko-włose, ale unikać powinny drobno-prążkowanych.

Przeciwnie materyały w pasy bardzo się nadają dla pań z krótkim, zwięzłym stanem. Te ostatnie powinnyby bezwarunkowo unikać materyałów w duży rzut i w duże kwadraty, zarówno jak i przybrań poprzecznych i szerokich, przy których figura ich wydaje się jeszcze tęższa. Spódnice gładkie w brety ze skromnem wyszyciem i staniki z pionowym przystrojem będą dla nich najodpowiedniejsze.

Materyały w duży deseń kwadratowy albo w wielkie kwiaty przeważnie nie nadają się na staniki i bluzki i na ten cel nie powinnyby być używane, albo tylko w połączeniu z gładką materyą, koronką, lub czemś podobnem. W żadnym razie nie powinnyby materyałów tych nosić zbyt tęgie osoby, gdyż desenie te zwracają uwagę w sposób krzyczący, a także uwidoczniają zbytną pełność figury. Zresztą staniki i bluzki z tych materyałów i dlatego jeszcze nie sprawiają dobrego wrażenia, że przez szwy całość dużych wzorów jest naruszona i deseń ich nigdzie w zupełności uwydatnić się nie może.

Co do fasonu sukien, to niewiele się da o nim powiedzieć, gdyż zależy on przeważnie od panującej mody. Ona orzeka, czy stan ma być długi, czy krótki i czy wąskie, czy też szerokie rękawy są noszone. Najważniejszą rzeczą jest, aby z wielu modnych fasonów wybrać dla siebie najodpowiedniejszy.

Kto jest bardzo wązki w ramionach nie powinien wybierać fasonu jeszcze tę wązkość uwydatniającego, a do szerokich ramion nie stosują się znów duże, okrągłe kołnierze. Panie z długim stanem unikać powinny wysokich stojących kołnierzy, a osoby, posiadające stan krótki, niech noszą paski, klinowo na spódnicę zachodzące.

Dla bardzo wysokich kobiet, jak to się już poprzednio powiedziało, gładkie, angielskie fasony mało są korzystne; nadają one bowiem ich wysokiemu wzrostowi cechę nudy i monotonności. Dla nich korzystne będą formy butiaste, obszerne spódnice układane w fałdy, falbanki marszczone, których otyłe osoby unikać powinny.

Figurę niekształtną i zbyt mały wzrost dobrze jest ukryć pod fasonem figaro, bolero lub krótkiemi kaftanikami.

Co się tyczy wyboru kolorów, możnaby o nim długo i szeroko się rozpi-

sać, gdyby nie skromny zakres niniejszego artykułu. Właśnie w tej dziedzinie natura stawia pewne oznaczone prawa, które również wymagałyby długich i specyalnych studyów, aby rozbudzić w nas poczucie piękna i tego, co dla naszej powierzchowności odpowiednie. Jeżeli wybierzemy na kostyum jakiś kolor dlatego tylko, że jest modnym, łatwo stać się może, że wykroczymy przeciwko dobremu smakowi. Nieskończenie wiele również na tem zależy, aby wszystkie kolory, znajdujące się w naszem ubraniu, na harmonijny akord się złożyły. Jako małe wskazówki w tym względzie, mogą następujące prawidła posłużyć:

Do bardzo świeżej cery nie można również bardzo świeżych kolorów dobierać, gdyż neutralne, przyćmione tony będą dla niej tworzyły najlepsze dopełnienie.

Przy włosach tycyanowskiej barwy dobrze wyglądają rozmaite odcienie czerwonego koloru, ale trzeba tu czynić wybór staranny, oprócz tego nadają się kolory: złoty, żółty, kremowy, szary, szaro-zielony, nasycony zielony, a szczególniej odpowiedni głęboko czarny z błyszczącemi ozdobami, n. p. dżetami.

Lecz kobieta z rudawemi włosami unikać powinna kolorów niebieskich i w niebieskawe wpadających, jak fioletowego i biało niebieskiego, również różowego i pewnych barw ostrych, surowych, czerwonych.

Dla brunetki z ciemnemi oczyma kolor czerwony oprócz odcieni *cerice i purpurowego* bardzo jest stosowny. Oprócz tego bardzo jej może być dobrze w żółtych i prawie we wszystkich brunatnych barwach, może też nosić kolor kremowo biały i czysty niebieski. Można jej wogóle polecić miękkie pastelowe barwy, lecz natomiast ostrzegać ją trzeba przed twardemi, zimnemi barwami i przed czarną.

Delikatne blondynki z cerą matową i czarnemi oczyma powinny być szczególniej staranne w wyborze barw na swe tualety. Niech unikają przedewszystkiem jaskrawych tonów. Jasne barwy, jak: jasno-żółta, kremowa, delikatna zielona, albo mieniąca i mieszane, jak: pawia niebieska, malwowa, oliwkowa, ametystowo i turkusowo-niebieskie i t. d., a także czarna nadają się dla nich, natomiast powinny się wyrzec barw: czerwonej twardej, niebieskiej, zielonej, płowej, różowej i lawendowej.

Jeżeli blondynka ma świeżą cerę a oczy niebieskie, to na suknię może wybrać delikatny kolor niebieski albo zimno-zielony, także lawendowy i liliowy; gdy przeciwnie: kolor fiołkowo-niebieski, lazurowy, zielono-żółty i żółty, a przedewszystkiem czerwony, nie są dla niej odpowiednie.

Ciemna blondynka nosić może wszystkie kolory, które nie są jaskrawe, zatem: ciemno-żółty, oliwkowo-zielony, stalowo-niebieski, ciemno-niebieski, również czerwony, czarny i kremowy.

Bardzo wiele w eleganckiej powierzchowności znaczy uczesanie; lecz uczesanie więcej jeszcze niż krój sukien powinno być dziełem smaku osobistego. Trudno tu już radzić, jedynym doradcą może być zwierciadło, przed którem należy tak długo próbować, dopóki do formy i wyrazu naszej twarzy nie dobierzemy odpowiedniego uczesania.

L.

Nowe książki i treść pism.

„Śpiewaka“, organu Związku Kół Śpiewackich wyszedł zeszyt 9-ty na miesiąc marzec zawierający: Walne zebranie Delegatów Kół Śpiewackich w Poznaniu. — Fryderyk Chopin. — Chopin — poeta narodowy.—Chopin a Wagner. — Chopinowska sonata „b-moll“. — Wiadomości ze świata muzycznego. — Dodatek muzyczny z utworami Chopina: „Stabat Mater“ z tekstem polskim i łacińskim. „Sen“ chór męski. Dwa chóry mieszane: „Życzenie“ i „Marzenie.“

Przedpłata kwartalna w mieście Poznaniu wynosi 1 mk., pod opaską 1 mk. 10 fen. — Zamówienia od osób prywatnych przyjmuje każda księgarnia — od Kół Związkowych wyłącznie ekspedycya Józef Ganke, Poznań, Kwiatowa ul. 9 III., dokąd się także z inseratami zgłaszać należy.

* * *

„Gazeta Ogrodnicza“, organ Towarzystwa ogrodniczo-przemysłowego w Toruniu rozpocznie wychodzić od dnia 1-go kwietnia r. b. na razie dwa razy w miesiącu i kosztować będzie kwartalnie 75 fen. Redaktor: Jan Koźlikowski, Toruń—Mokre, Geretstr. 3, ekspedycya: K. Zabłocki, księgarnia, Toruń-Thorn.

* * *

Ruchu chrześciańsko-społecznego ukazał się zeszyt 11 i zawiera:

Rozwój katolickich Towarzystw robotników polskich w archidyecezyi gnieźnieńskiej i poznańskiej w r. 1908. — Dr. F. B. Gdzie winna być siedziba naszego Związku zawodowego? — Ks. K. I. Kantak. Syndykalizm. — Materyał do wykładów i nauki: B. Ziemski: Forma i organa rządów w Prusiech. A. Powstanie sejmu pruskiego. B. Rządy kraju. I. Król. II. Ministrowie. C. Sejm pruski. 1. Izba panów. 2. Izba deputowanych. 3. Prawa obydwóch izb. — Ruch ekonomiczno-społeczny: Znaczenie umów taryfowych w gospodarstwie społecznem. — Z ruchu socyalistycznego: Oświadczenie ks. ks. Jezuitów w sprawie potwarzy rzuconej na ks. Sieprawskiego T. J. — Wiadomości literackie: „Zjednoczenie.“

Wiece, zjazdy, wystawy, zebrania.

* W niedzielę dnia 14-go marca r. b. będzie miał odczyt w języku francuskim na sali hotelu Rzymskiego były oficer włoski o **Starożytnych pamiątkach sztuki miasta Mesyny przed trzęsieniem ziemi** jako też o podróży do Wenecyi. Początek o godzinie 5-tej po południu. Wstęp wolny. — Broszura zawierająca treść odczytu po 1 mrk. jest do nabycia na sali hotelu Rzymskiego, we wszystkich księgarniach w Poznaniu i u pana Arnesego, ulica Długa nr. 8. Dochód przeznaczony na korzyść nieszczęśliwych sierót Mesyny i Kalabryi, będących pod opieką Królowej włoskiej.

* * *

* **Lutnia.** Lubownikom śpiewu i muzyki zwracamy uwagę na koncert „Lutni,“ odbyć się mający dnia 14-go b. m., który dzięki niestrudzonej i mozolnej pracy dyrygenta p. St. Ogurkowskiego oraz zabiegliwości członków Zarządu zapowiada się znakomicie. Wykonane zostaną dwa nowe, Poznaniowi dotychczas nieznane, a w Krakowie i Lwowie z wielkiem powodzeniem wystawiane utwory, a mianowicie: „Powrót“ Noskowskiego i „Walce Balowe“ Pankiewicza.

W „Powrocie“, cyklu ośmiu krakowiaków na chór mieszany, przedstawia nam kompozytor wyprawę na wojnę, pożegnanie wojaków przez dziewczęta wiejskie, powrót z wojny, a w końcu wesele i powstającą z tego radość we wiosce.

Utwór ten pełen swojskich i ukochanych melodyi wzbudzi niewątpliwie zainteresowanie także i szerszej publiczności.

„Walce Balowe“ Pankiewicza, ułożone na chór męski przez Maszyńskiego, kompozytora „Jasełek,“ oznaczają się nie mniej oryginalnością, wprowadzając nas do salonu, w wir bawiącej się i tańczącej młodzieży.

Nie mniejszem powodzeniem cieszyć się będzie także występ p. Panieńskiej — śpiewaczki oraz popis muzyczny młodego, a cieszącego się już u nas niezwykłą sympatyą artysty-skrzypka p. Pawlaka.



Materyały do historyi Miłosławia i okolicy.

Zestawił
Filip Skoraczewski,
honorowy obywatel miasta Miłosławia.

4)

Kiedy więc obok płonącego Komorza, bezpieczni i spokojni o siebie w najlepsze jedzą i piją, pojawia się nagle zdała z jazdą swoją Mojek i rączym krokiem posuwa się naprzód, jakoby ku nim chciał zmierzać; nagle jednak zwalnia krok jazdy swojej, a nawet stawa, jakoby się strwożył. Co zamierzał, to wykonał tym ruchem swoim. Krzyżakom zdało się rzeczywiście, że uląkł się ich potęgi i nie byliby wcale na niego zważali, gdyby ktoś z pomiędzy nich, dobrze pijany, nie był ryknął z całego gardła: „To Kazimierz ucieka!“ Okrzyk ten wpłynął na nich, jak iskra elektryczna, zapalił na nowo złośliwe ich serca żądzą pojmania królewicza i dla tego spiesznie wsiedli na koń i pogonili za uciekającym. Ziemia zatętniała od kopyt koni, które w cwał z jezdcami swoimi w stronę Mojka się puściły. Gonią więc Mojka z garstką jego jazdy, lecz nigdy doścignąć go nie mogą, bo on raz w prawo umyka, to znów drugi raz w lewo przed nimi przez rowy skacze i suwa. Ostatecznie po długiej daremnej gonitwie serce Krzyżaków zatrzęsło się z radości. Już im nie ujdzie, bo konie jego już ustały, już dalej uciekać nie może. Lecz cóż się dzieje? Ten zuchwalec z garstką swoich zwraca się na nich? Tego już za wiele i dla tego dalejże na niego! — tak brzmi komenda i Krzyżacy z dobytym mieczem w ręku cwałem rzucili się na Mojka. W tem z prawej ich i z lewej strony wypada reszta jazdy Ostrowskiej, która w lesie była ukryta, a za nią z strony północno-zachodniej występuje na znak dany piechota i gęstym gradem kamieni, miotanych z proc i strzałami z łuków, razi nieprzyjaciela.

Przyszło do bitwy, a wkrótce nawet do rzezi, bo Krzyżacy zewsząd otoczeni, choć przeważni liczbą uledz musieli waleczności naszych. Całe pole zasłane ich trupami i z 400 ledwo kilkunastu uciec zdołało, puściwszy się wpław przy ujściu Prosny do Warty, aby smutną wiadomość o klęsce tej ponieść reszcie braci swoich, pozostałych pod Pyzdrami i przerazić ich tą nowiną, że tuż za rzeką znajduje się król Władysław z wojskiem swojem. Jakoż rzeczywiście wiadomość ta i poniesiona klęska tak ich przeraziła, iż niebawem z pod Pyzdr udali się w dalszą stronę, zdaje się, ku Środzie. Chlubnem było wprawdzie zwycięstwo kasztelana Ostrowskiego, lecz nie mało ono z strony naszej pochłonęło ofiar. Jeśli wielu zginęło Krzyżaków, nie mało także poległo naszego rycerstwa. Sam kasztelan, który jak lew walczył i niejednego Krzyżaka na ziemię powalił, pod koniec bitwy o mało co nie zginął, bo nagle przyskoczył do niego jeden z rajtarów z mieczem swoim i prosto w głowę cios swój wymierzał, lecz gdy mu się to nie udało, bardzo ciężko kasztelana w lewe ramię ranił. Pomścił tej krzywdy poczciwy Skitek i od razu rajtara z konia zwalił. Miał to być Polak z obozu Szamotulskiego, jak o tem nadmienia Idzi Skorupka, który w chwili skonu swojego przypomniał sobie jeszcze i wybełkotał św. imiona: Jezus! Marya! Obok kasztelana, jako nieodstępni jego towarzysze, dokazawszy cudów waleczności w tej potrzebie, polegli: Cichoń, Grzyb i Warzywoda, których zgonu acz chwalebnego na polu bitwy za króla i ojczyznę — wszyscy wyżałować nie mogli.

Ciała poległych naszych przywieziono do Ostrowa i pochowano je ze czcią wielką w jednej mogile w pobliżu kaplicy św. Stanisława. Pobitych zaś Krzyżaków ciała wraz z Szamotulskimi pochowano na miejscu w dwóch mogiłach w lesie komorskim w pobliżu dróg rozstajnych. Zaklęsły one od dawna, lecz pamięć ich przechowała się w długie czasy wśród ludu pod nazwą „mogił potępieńców.“

Każdy z przechodniów we dnie rzucał na nie kamień, albo suchą gałązkę, z czego powstały w lesie dwa kopce; nocą zaś bał się każdy przechodzić około tego miejsca i żegnał się już z daleka, bo mówiono, że tam coś straszy i kusi, że wyje i jęczy tak przeraźliwie, że aż włosy na głowie dębem stawają. Mogiły te dotrwały, jak mi powiadał p. Ignacy Drogosław Skórzewski, aż do czasów ojca jego, Starosty, dziedzica Komorza i dopiero za rządów pruskich ślad ich zaginął po wycięciu lasów w Komorzu, po zamianie ziemi ich na role i po usamowolnieniu włościan, przez co niejedna zaszła zmiana na powierzchni w całej okolicy.

Krzyżacy, udając się z nazwanymi zdrajcami do Środy, którą zupełnie spalili, przechodzili przez Miłosław, lecz nie mamy żadnych danych, byśmy wnioskować mogli, jak się tu zachowali. Prawdopodobnie nie mieli czasu do gruntownego spustoszenia naszego miasteczka, ale też nie mieli czasu do płacenia za prowiant. Dążyli do większej i bogatszej Środy i takową, po uratowaniu dla siebie kosztowności, z dymem puścili, to samo poprzednio z Winnogórą uczyniwszy.

Królewicz Kazimierz, przebywając w Pyzdrach, także Miłosław odwiedzał. Rewizytował tutejszego hrabiego, a może też w tutejszych lasach polował, bo, jak wiadomo, był wielkim łowiectwa lubownikiem. Odległość Pyzdr od Miłosławia tylko 15 kilometrów wynosi, można ją więc dobremi końmi w 6 kwadransach przebyć. Tyle też pewną, że Władysław Łokietek i syn jego Kazimierz, ilekroć z Poznania do Pyzdr się udawali, lub ztamtąd wracali, zawsze im droga przez Miłosław wypadała.

Mówiąc o miastach, także o szlachcie wielkopolskiej mówić musieliśmy, a wypada nam, jeszcze wspomnieć i o wieśniakach, czyli chłopach okolicy tutejszej, a zwłaszcza z za rzeki Warty, gdyż chłopi z czasów Polski w podziałach odznaczali się patryotyzmem i męstwem, które podziwiać musimy. Chłop wówczas nie znał jeszcze czarnych stron pańszczyźnianego do pana stósunku, czuł się obywatelem kraju, czuł się wdzięcznym ojczyźnie synem. Żałować wypada, że wówczas kronikarze, tylko wielkie dzieje narodów mając na oku, nie wiele siermięgowych bohaterów uwiecznili drukiem, ale nam, co się historyą małego miasteczka i jego okolicy zajmujemy, miłe to zadanie przypada w udziale i chętnie je, w celu zwalczania mylnych o przeszłości zapatrywań i w celu przedstawienia wieśniakom za wzór ich wielkich naśladowania godnych praojców, spełniamy.

Nie mając zaś pod ręką odnośnych źródeł, z których ks. Łukaszewicz przy opracowaniu dziełka: „Strażnica Ostrów i miasto Żerków“ obficie czerpał materyał, tylko z tego dziełka korzystać możemy.

Pierwszy kasztelan ostrowski, Maciej Doliwa Kot, miał pod Głogowem i na Psiem polu, jak ksiądz Łukaszewicz za Idzim Skorupką pisze, przy sobie dwóch dzielnych żołnierzy: Kubę Pordębę, chłopa potężnego i silnego, który jako lew rozjuszony rzucał się na przebój na pułki nieprzyjaciela i pochód swój trupami zaznaczał, i który go też pod Głogowem z największego niebezpieczeństwa wydobył i życie ocalił, i drugiego: Szymona Zarembę, miles audax et ferox, który nikomu nie przepuszczał i nieraz bronią na nieprzyjacielu zdobytą wroga uśmierzał. Setki lat odtąd minęły i z obydwóch tych wojaków ani prochu nie pozostało, lecz rzecz wspomnienia godna, ród ich dotąd nie zaginął. Mamy jeszcze w okolicy naszej Pordębów i Zarębów wyróżniających się od drugich i wzrostem i silną budową ciała i pięknem prawdziwie marsowem obliczem.

Dwieście lat później, w bitwie z czyhającymi na królewicza Kaźmierza Krzyżakami, zasłynęli z rozwagi i waleczności następujący chłopi: Pietrek Wojewoda i Szczęsny Grzyb z Żółkowa, Idziaszek, Wojtek i Szymek Cichonie z Raszew, Wojtek Skitek i Wawrzyn Gawron i wielu innych. Byli oni zawsze przy samym boku Włodka z Bonabora, kasztelana ostrowskiego (żerkowskiego) i walczyli, jak bohaterowie walczą.

Czy Wy Bracia Tóżdaki, jak Was wówczas zwano, z nad Warty i z za Warty, czujecie w sobie ten szlachetny zapał dawnych Zarębów, Cichoni i t. d.? Wiem, że go czujecie, to też chętnie się odzywam. Wiem też, iż dawniejszej nazwy „Tóżdaki“ nie weźmiecie mi za złe, bo tak, gdyście dawniej przy koniach tylko jednej używali lejcy i nią konie tóżdali, powszechnie Was Tóżdakami nazywano. Dziś ta nazwa ustała, bo inną już macie uprząż, a konie dobre.

Wymienione wyżej nazwiska spotykamy jeszcze nad Wartą. Inaczej już wyglądają teraźniejsi Cichonie i t. d., bo nie stroją się w samodziały, w sukna i płótna w domu robione, ale duch w nich dawny. Gdy bieda, wychodzą na zarobek do Ameryki, w Sasy, Hanowery, ale, zebrawszy coś grosza, wracają do domu, by swe gospodarstwa podnieść, poprawić.

3.

Miłosław w czasach Kazimierza Wielkiego.

Z czasów Kazimierza Wielkiego (od roku 1333 do 1370), o którym to historya powiada, że zastał Polskę drewnianą a zostawił ją murowaną, nie doszła nas żadna o Miłosławiu notatka, a przecież wielki ten król, jako namiestnik ojca Łokietka w Miłosławiu u Kotów przebywał, Miłosław znał dobrze i z pewnością też życzliwość miastu naszemu okazywał. Głównem staraniem Kazimierza Wielkiego było dbanie o utrzymanie pokoju, by wojnami za ojca jego i poprzedników znękana, objedzona i spusztoszona Polska mogła się pokrzepić, wzmocnić. Zaczął wznosić po swych miastach gmachy nowe z kamienia i cegły; zaczął swe miasta obwarowywać i wszelkie drogi naprawiać, a za jego przykładem szła szlachta, mniejszych miast właściciele. Gdzie brakło ludności, usiłował udzielaniem rozmaitych przywileji ściągać ludność obcą, przeważnie niemiecką. Przeprowadził też w Wiślicy w roku 1347 nowy statut, nowe prawa, pod których osłoną kraj się z upadku podnosił i bogacił. W prawie magdeburskiem, którem się bardzo wiele miast rządziło, tę korzystną zaprowadził nowość, że zniósł odnoszenie się w sprawach ważniejszych do Magdeburga i Hali, a za to w kraju, w Krakowie, sąd sajwyższy ustanowił. Kazimierza Wielkiego nazywano także „królem chłopów,“ bo się szczerze polepszeniem doli ludu wiejskiego zajmował i czasami nawet szlachtę, gdy lud ciemiężyła, publicznie ochłostać kazał, lecz równie szczerze dbał także o mieszczan, o biednych rzemieślników. Nazywano go także „królem żydów,“ bo wielkim był tego semickiego plemienia dobrodziejem.

Kazimierz Wielki założył w roku 1364 akademią w Krakowie, której nam sąsiednie narody zazdrościły, a która nietylko oświatę w Polsce rozszerzyła i podniosła, ale i pośrednio się do rozwoju miast naszych, a więc i Miłosławia, przyczyniła.

Za panowania tego ostatniego u nas Piasta nawiedzały niestety nasz kraj klęski głodowe. Najpierw w roku 1335 spustoszyła pola szarańcza tak bardzo, że prawie nie było zboża, a w roku 1362, co się rzadko zdarzało, w całej Polsce zupełny był nieurodzaj. Ludzie żywiąc się niestrawnemi pokarmami, jak korą drzew i zielskami, marli gromadnie. Tym klęskom głodowym o dobro swego kraju dbający monarcha zapobiegał przez zakładanie w latach urodzaju rezerwowych śpichlerzy.

Jaka za jego czasów zakwitła w miastach, a więc i w Miłosławiu, zamożność, daje nam wskazówkę Wierzynek, bogaty mieszczanin krakowski, który podejmował u siebie gości króla, gdy tenże wnuczkę swą Elżbietę za mąż, za cesarza niemieckiego Karola IV., wydawał. Wierzynek ugościł u siebie cesarza niemieckiego, naszego króla i 3 innych królów, a mianowicie Zygmunta, króla duńskiego, Ludwika króla węgierskiego i Piotra, króla cypryjskiego, a nadto wielką liczbę książąt, a zwłaszcza piastowskich. Uczta u Wierzynka była tak obfitą i tak doborową i wykwintną, że królewskie uczty zakasowała i ogólny pomiędzy obecnymi na niej monarchami budziła podziw, ogólną pochwałę. Nadto obdarzył Wierzynek każdego z swych gości nadzwyczajnemi podarkami, niezwykłemi, rzadkiemi kosztownościami i klejnotami. Królowie państw ościennych zazdrościli mieszczaninowi polskiemu, a raczej spolszczonemu, bardzo wielkiego bogactwa, nadzwyczajnej oświaty i ogłady.

4.

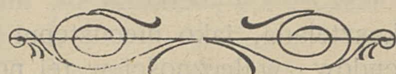
Miłosław za czasów Ludwika, króla węgierskiego, aż do wstąpienia na tron Władysława Jagiełły.

Po Kazimierzu Wielkim wstąpił na tron siostrzeniec jego, Ludwik, król węgierski (od roku 1370 do 1382). Dla Węgrów był on wielkim, ale dla nas małym, bo nic nie zdziałał dobrego, a za to nadał w roku 1374 w Koszycach szlachcie wielkie przywileje, które chłopów i mieszczan na stanowisko podrzędnych obywateli kraju spychały. Chciał się przypodobać szlachcie, by przez to tron polski jednej ze swych córek zapewnić.

Po śmierci Ludwika, którego panowanie w Polsce nie należało do szczęśliwych, zaszedł w Miłosławiu ważny wypadek:

Szlachta poznańska i kaliska niezadowolona z rządów Domarata z Pierzchna, generała wielkopolskiego, starała się nakłonić Zygmunta, margrabiego brandenburskiego, zięcia króla Ludwika i przypuszczalnego tegoż następcę, aby Domarata odwołał.

(Ciąg dalszy nastąpi).



Z cyklu rysunków t. zw. „portrait-une charactéristiqué“ Stefana Sonnewendta.

Artyści teatru polskiego w Poznaniu.



I rząd (od lewej strony): Stanisław Faliszewski. Antoni Bednarczyk. Jan Szymański. Stanisław Faliszewski. Józef Lehrer. Zofia Faliszewska. Jadwiga Zielińska. Włodzimierz Orski.

II rząd (od lewej strony): Aleksander Bogusiński. Marya Szlezynger. Andrzej Hayek. Feliks Kosiński. Andrzej Lelewicz. Maryan Andruszewski. Anna Floriani. Kazimierz Junosza. Jan Kącki.

III rząd (od lewej strony): Marya Sieniawska. Bolesław Fotygo. Andrzej Lelewicz. Andrzej Lelewicz. Napoleon Sawicki. Henryka Stochelska.

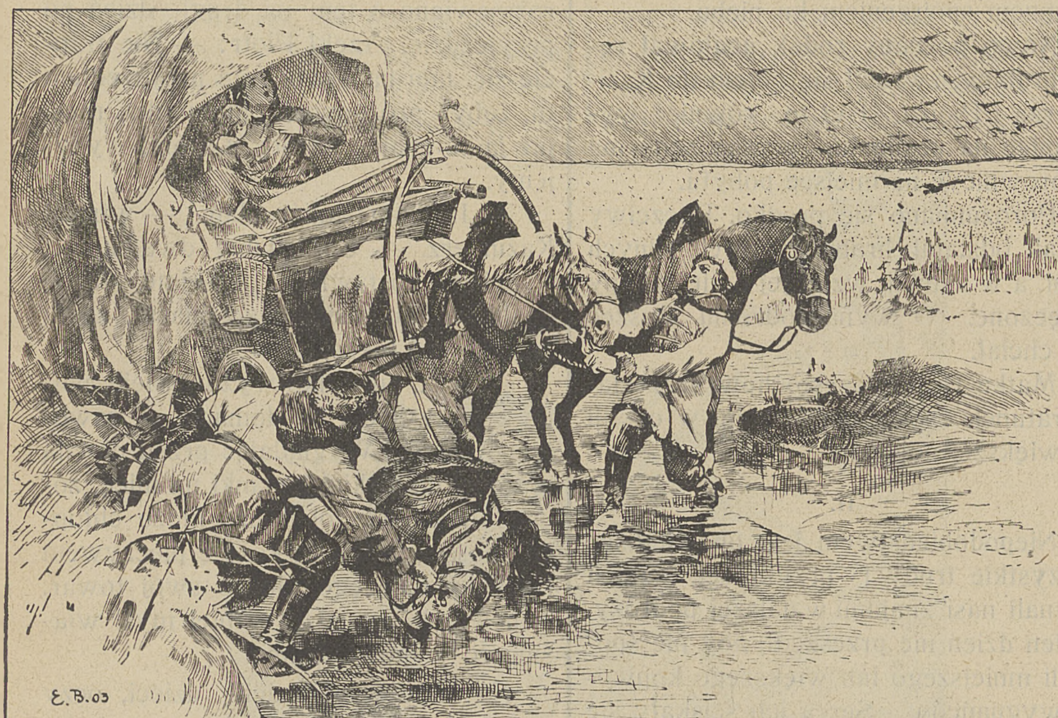
IV rząd (od lewej strony): Leon Recheński. Stanisław Szatkowski. Henryk Czaki. Bolesław Fotygo Andrzej Lelewicz. Teofil Huss. Stanisław Zakrzewski. Stanisław Czerniak. Jerzy Boroński.

V rząd (od l. str.): Józ. Andrzejewski. Barb. Herburt. Zofia Sławińska. Eleon. Królikowska. Henr. Borecki. Marya Radwan. Eleon. Halnicka. Marya Bogusińska. Józ. Andrzejewski.

Drukiem „Pracy“.

W drodze na Sybir.

Opowiadanie z niedalekiej przeszłości.



Marya pomaga w największem niebezpieczeństwie.

I.

Na granicy północno - wschodniej Europy i Azyi, rozpoczyna się step bezbrzeżny, rozciągający się na kilka tysięcy mil kwadratowych, zwany Syberyą.

Syberya! Nazwa sama dreszczem nas przechodzi, a przed oczy naprowadza tak wiele nieszczęśliwych wygnańców.

Było to w roku 1865. Maj już nadszedł, ale wiosny nie czuć było jeszcze w tej ponurej krainie. Zimny wiatr miotał śniegiem i deszczem, i zamieniał drogi w kałuże. Ciężkie, ołowiane niebo pokrywało świat smutny.

Drogą, wiodącą do Tomska, toczy się samotny wózek podróżny, zaprzężony w trzy wychudłe, pomęczone szkapy. Już od kilku godzin męczą się konie na bagnistym gruncie. Obok nich brodzi starszy już człowiek, w brudny kożuch odziany, i popędza znużone zwierzęta do pośpiechu, — ale daremnie.

Na wózku, nakrytym płótnem, rzuca się w febrze niespokojnie dwunastoletnia może dziewczynka, a gdy koła wózka uderzą o kamień, jęczy głośno i boleśnie. Obok dziecka klęczy delikatna kobieta, matka jego, i cierpi może więcej jeszcze, bo nie może pomódz biedactwu. W kącie wózka drzemie skulony młody chłopiec, syn widocznie, bo blada jego twarz o szlachetnych rysach uderza podobieństwem do matki.

Co za jedni ci podróżni? i gdzie zdążają w tak straszną niepogodę?

Przed trzema laty ojciec obojga dzieci żył szczęśliwie w dobrach swoich pod Warszawą. Hrabia Oliński był bogatym, niezależnym, dla podwładnych dobrym jak ojciec. Miał dobrą, kochającą żonę i dwoje zdrowych dzieci; zdawało się, że posiada wszystkie warunki do szczęścia.

W tem, w roku 1863 wybuchło nieszczęśliwe powstanie. Język ojczysty, obyczaje i święta wiara przodków były w niebezpieczeństwie, lud chwycił za broń, aby ratować skarby swoje. Ale ogień zapału ugasiła Rosya morzem krwi i okrucieństwem niesłychanem.

Powstanie stłumiono. Hrabiego niespodziewanie uwięziono, a po dłuższym procesie skazano na dożywotny pobyt w Syberyi. Nędzny oszczerca, niejaki Jacek, spekulujący na bogate posiadłości hrabiego, oskarżył go i przedłożył sfałszowane papiery, wykazujące, że Oliński nietylko wspierał powstanie pieniężnie, ale był duszą powstania w Warszawskiem. Nie pomogło to, że inni oskarżeni, rzeczywiści przywódcy powstania, uznali papiery za fałszerstwo, i świadczyli o niewinności hrabiego. Oszczerca miał więcej wiary niż oskarzony.

Podczas gdy hrabia Oliński, wśród ciężkiej zimy, wędrował na wygnanie wraz z towarzyszami niedoli, dobra jego rząd rosyjski zabrał i sprzedał za śmiesznie nizką cenę. Nabył je Jacek, oskarzyciel.

Któż opisze przestrach, ból, rozpacz rodziny! Co miała począć hrabina z dziećmi? Życie zdala od męża zdawało się jej niemożliwem. Czyż miałaby go zostawić samego, bez pociechy na straszliwem wygnaniu? Chciała z nim dzielić choćby najgorszą nędzę. Gdy więc przedwczesna wiosna zesłała kilka dni pięknej pogody, poczyniła natychmiast przygotowania, aby z obojgiem dziećmi, Kazimierzem i Anną, pospieszyć za mężem. Piotr, długoletni sługa rodziny, prosił hrabinę, aby pozwoliła mu dzielić nieszczęśliwą dolę dobrodziejów swoich.

Ale zaledwie wybrali się w podróż, pogoda się odmieniła. Ostry wiatr północny przyniósł śnieg i zimno, a na dobitek rozchorowała się w drodze mała Anna.

Jedyną pociechą matki był Kazimierz, chłopiec szesnastoletni. W ciągu ostatnich tygodni dojrzał umysłowo nad wiek, i zachowywał się też jak dorosły mężczyzna. On to wyszukiwał na mapie najlepszą drogę, zakupywał żywność, wyznaczał stacye spoczynku, słowem, starał się ile możności ulżyć trosk matce ukochanej.

Stan dziewczynki pogarszał się z godziny na godzinę, a biedna matka drżała z obawy, że dziecko umrze jej w drodze. Droga była coraz gorsza, wicher dął coraz silniej, i mimo, że wszystkie szpary wózka zatkano kocami i futrami, wiatr wkradał się do wnętrza.

Konie były całkowicie wyczerpane. Wózek poruszał się coraz to wolniej, wreszcie stanął. Do najbliższej osady były jeszcze dobre trzy godziny.

Kazimierz wysiadł i rozmawiał cicho z Piotrem. Koń jeden, który już dawno utykał, potknął się i padł, drugi i trzeci stanęły i zwiesiły głowy. Gdy Piotr popuścił postronków, upadły. Koń chory położył się na bok, i w żaden sposób wstać już nie mógł, trzeba go było zostawić na drodze.

Hrabina wychyliła głowę za płótno wózka i pytała, co się stało. Kazimierz objaśnił ją krótko.

— O Boże mój, co teraz poczniemy? — zawołała.

— Nie pozostaje nic innego, jak biegnąć do najbliższej wsi i sprowadzić świeże konie, — rzekł Piotr.

— Ale tymczasem noc nadejdzie, a nie możemy przecież nocować tu w polu!

Piotr nie wiedział, co odpowiedzieć.

— Spróbujmy jechać dwoma końmi, — rzekł Kazimierz po krótkim namyśle.

Stary sługa usłuchał, milcząc i poganiał batem dwa przemęczone zwierzęta, ale nie mogły ruszyć z miejsca. Kazimierz popchnął wózek z jednej strony, Piotr z drugiej. Wózek potoczył się zwolna.

Konie stanęły po raz drugi i ruszyć

nie mogły dalej. Rozpacz nieopisana owładnęła hrabinę. Co teraz będzie? Otwiera instynktowo jeden z kufrów i szuka w nim czegoś. Wyciąga przedmiot jakiś, owinięty starannie. To obrazek, trochę większy od dłoni, przedstawiający Matkę Boską Częstochowską. Ramki obrazka są bardzo kosztowne, złote, wysadzone przepięknemi drogiemi kamieniami. Jest to własność rodzinna Olińskich. Po wielu staraniach pozwolono hrabinie wziąć obrazek ze skonfiskowanego zamku na wygnanie.

Zdziwi się może łaskawy czytelnik, dlaczego ten obrazek ujęto w tak kosztowne ramki. Otóż pochodził on od człowieka, którego obecnie czci kościół jako błogosławionego, od Klemensa Maryi Hofbauera, który żył jakiś czas w Warszawie i wtenczas już mówiono o nim, jak o świętym. Dziadek hrabiego słyszał nieraz kazania świątobliwego kapłana, spowiadał się u niego i od niego dostał raz ten obrazek w prezencie. Tego samego dnia jeszcze doświadczył opieki Matki Boskiej i to w sposób bardzo widoczny. Jadąc z powrotem do domu, napotkał stado głodnych wilków. Bronił się do upadłego razem z parobkiem. Siły już go opuściły, wezwał wtenczas pomocy potężnej Królowej nieba i wnet usłyszał nadjeżdżające towarzystwo, wracające z polowania. Był uratowany. Od tej chwili miano w wielkim szacunku ten obrazek w rodzinie Olińskich, a więcej jeszcze, gdy księdza Hofbauera uznał Kościół błogosławionym. Jeszcze dziadek hrabiego kazał go oprawić w kosztowne ramki.

Ten to obrazek wyjęła hrabina w trwodze swojej serdecznej, i szczere, korne błaganie o pomoc przesłała do Pani, pełnej łask:

„Tak często okazałaś się nam w niebezpieczeństwie Wspomożeniem, o, nie opuszczaj teraz mnie i moich dzieci! Niechaj serce Twoje miłosierne ulituje się nad dolą nieszczęśliwych, wysłuchaj błagań utrapionego serca matki!“

I Marya pomogła!

Po chwili usłyszeli głos dzwonków. Nadjechał lekki wózek, zaprzągnięty w trójkę, a gdy stanął przed wozem hrabiny, głos jakiś zawołał po rosyjsku: — Co się wam stało! Pewnie nieszczęście jakie z końmi! Nic to dziwnego, na tych okropnych drogach!

Hrabina wyjrzała i przemówiła po polsku kilka słów do syna, aby prosił obcego o pomoc. Ale ten, zaledwie posłyszał dźwięki polskiego języka, zeskoczył z wózka i zbliżył się do naszych podróżnych.

— Ach, rodacy w biedzie! — zawołał również po polsku; — w sam czas przybywam. Jesteście pewnie w drodze na Sybir?

— Dzięki Bogu i Pannie Najświętszej! — wyszeptała hrabina z dziękczynnem spojrzeniem ku niebu.

Nowo poznany rodak ucałował rękę hrabiny, zwrócił się potem do Kazimierza i Piotra. Był to również wygnaniec na posileniu, wyznaczono mu tę prowincyę na miejsce pobytu.

Porozumiano się prędko. Poczciwy rodak odstąpił hrabinie swych silnych koni, a w zamian wziął jej dwie szkapy zmęczone. O wynagrodzeniu słyszeć nie chciał.

Matka Boska Częstochowska zesłała ratunek czcicielom swoim w chwili największej potrzeby.

II.

Niepodobieństwem jest opowiedzieć wszystkie trudy i przykrości, jakich doznali nasi znajomi w dalszej podróży. Jeden dzień nie przeszedł, aby nie spotkali mniejszego lub większego konwoju wygnańców. Serca ich ściskały się na ten widok. W podartej odzieży, w kajdanach i bosi, maszerowali naprzód, skuci po dwóch, otoczeni konnymi kozakami. Głód, cierpienie, choroba i nędza wyglądały z bladych twarzy, a niejedna prośba o kawałek chleba lub krzepiący trunek doszła do uszu podróżnych. Mimo ograniczonych swych środków obdarzała hrabina hojną ręką biedaków. Mąż jej przechodził przecież przed kilku miesiącami tą samą drogą w takim samym, a może gorszym jeszcze stanie. Ach, myśleć o tem nie mogła, serce pękało jej z bólu!

Był to miły wieczór letni. Purpurowe słońce kryło się właśnie za stepem, gdy wjeżdżali do osady, naznaczonej hrabiemu Olińskiemu na miejsce pobytu.

Zaledwie wózek stanął, gdy na bliskim pagórku spostrzegli jakiegoś człowieka. Zgięty był trochę i oczy zasłaniał rękoma, jakby się chciał przyjrzeć czemuś. Serce hrabiny pukało prawie głośno; głos wewnętrzny mówił jej, że ten człowiek, to jej mąż. Tak było w istocie.

Rzuciła się w ramiona jego, łkając. Bolesne to było powitanie.

Kazimierz widzi, że ojciec blady, źle wygląda i przeczuwa, że nie długo zniesie trudy wygnania. Gniew dziki porwał go na nędznika, który tak straszne nieszczęście sprowadził na nich wszystkich. O, żeby go mógł spotkać raz jeden! Czyni święte postanowienie dołożenia wszelkich starań, aby wrócić wolność ojcu.

Ale tymczasem pierwszą jest ciężka troska, jak tu zarobić na życie. Hrabina miała jeszcze wprawdzie kilkaset rubli, ale hrabia tknąć ich nie pozwolił, aby w danym razie rodzina wrócić miała za co do ojczyzny. Z tych kilku kopiejek, wyznaczonych dziennie od rządu, on sam wyżyć nie mógł. Gdy rozmawiano o tem na drugi dzień po przyjeździe, rzekł Piotr: — Nie trapcie się, moi państwo, nie przyszedłem tu, żeby próżnować. Mam silne ręce, już ja tu znajdę robotę, z której wyżyjemy.

— Ja mam także plan, — wtrącił Kazimierz. — Sprzedamy dwa konie, trzeciego zostawimy. Obejmę służbę posłańca do sąsiedniego miasta, za to zarobię coś także.

— A ja, jak tylko wyzdrowieję, pójdę z pieczywem po domach, — zawołała Anulka. Wyglądając przed chwilą przez okno niskiej lepianki na ulicę, zobaczyła dziesięcioletniego może chłopca, niosącego wielki kosz z pieczywem i wychwalającego głośno swój towar. Ten widok wzbudził w niej myśl właśnie co wypowiedzianą.

Na takie współczucie dzieci, oczy ojca łzą zaszły i ze smutnym uśmiechem spojrzał na żonę.

— Czyż nie jesteśmy bogaci, posiadając w dzieciach takie klejnoty? — zapytał.

Hrabina, milcząc, skinęła głową.

Uwaga Anulki przywiodła jej do głowy myśl jednę, którą teraz rozważała w milczeniu. Dla własnej przyjemności nauczyła się przed laty pieczenia różnych dobrych ciast, nie przypuszczała wówczas, jak ta nauka przyda się jej kiedyś w życiu. Mimo przedstawień męża oświadczyła, że pieczeniem i sprzedawaniem ciast przyczyni się także ze swojej strony do utrzymania rodziny.

Zarabianie na życie nie przyszło im tak łatwo, jak sobie wyobrażali w niedoświadczeniu swojem. Piotr pracował po za domem, a Anulka, która postawiła na swojem i roznosiła pieczywo matki, nie umiejąc dobrze miejscowego języka, powracała często z niesprzedanym towarem. Kazimierz namęczył się dosyć, pełniąc służbę posłańca. Wspólny zarobek był nie wielki.

Ale z czasem szło lepiej. Anulka codziennie wracała z próżnym koszykiem i z torebką, pełną kopiejek, a Piotr, poczciwa dusza, przynosił co tydzień znaczną sumę. Wygnańcy ciężki wiedli żywot, pełen pracy i kłopotów, ale opromieniony przecież serdeczną miłością, jaka ich łączyła.

Przyszły jednak cięższe dnie i z czasem stawały się coraz cięższe. Wyzdrowienie Anulki zeszłego roku było tylko pozorne. Powietrze Sybiru nie służyło jej, poczęła wraz z ojcem kaszleć i niknąć w oczach. Hrabina wzię-

ła sama koszyk do ręki, i poszła sprzedawać swoje pieczywo. Hrabia dręczył się wyrzutami, i uważał się za jedynego sprawcę całej biedy. Widziała to żona dobrze, ale umiała udawać, że nie widzi. Przecież to, co robiła, było potrzebnem dla rodziny. Ukrywała ból swój i zmartwienie, a pracowała wraz z Kazimierzem ze wszystkich sił na utrzymanie drogich sercu. Nocą, gdy wszyscy spali, klęczała jeszcze przy świetle nędznej lampki przed obrazkiem Matki Boskiej, i prosiła Ją o pociechę i siłę w troskach swych i bólu serdecznym.

Potrzebowała biedna pociechy. Mąż z dnia na dzień był słabszym, chudszym, a kaszel się zwiększał. Zdrowie Anulki także się nie poprawiało. Hrabina oszczędzała, jak mogła, aby uskładać na opłacanie lekarza i apteki. Lekarz orzekł, że hrabia Oliński nie dożyje wiosny, a Anulka powinnaby natychmiast zmienić miejsce pobytu, aby suchy wiatr stepowy nie zgasił słabej lampki jej życia.

Słyszała to żona i matka, a rozpaczać nie wolno jej było! Musiała taić ból swój, aby nie zdradzić się najlżejszym jękiem, aby wszystkim nie odbierać odwagi. Gdyby nie wiara jej, i niezachwiana ufność w Matkę Boską, byłaby uległa pod ciosem.

Raz opowiadał Piotr o swych przygodach tak: — Gdy straciłem jednę robotę, próbowałem znaleźć zajęcie w pobliskich kopalniach. Przedstawiłem się dyrektorowi, który przejrzał moje papiery, i wynajął mnie zaraz jako parobka do swoich koni. Na drugi dzień posłał mnie z dwoma ludźmi do kopalni, aby wynieść stamtąd ciężko ranionego, a jeśli umarł, pochować go. Schodziłem po drabinie do szachtu, a tchu złapać nie mogłem. W około taka ciemność, taka wilgoć i zaduch! W życiu mojem nie zapomnę, com tam widział przy świetle lampek górniczych! O, te nędzne postacie, te oblicza! Dzikie brody, siwe włosy, twarze zapadłe, a oczy tak głęboko w jamach, że ich prawie widać nie było! Odzienie podarte, brudne. Straszny to był widok! — Zamilkł, jakby dłuższego czasu potrzebował, aby wymazać obraz ten z pamięci.



Rzuciła się w ramiona jego, łkając. Bolesne to było powitanie.

— A czy wiecie, państwo moi, — rozpoczął znowu, — kogo tam spotkałem między tymi nędzarzami? — Przerwał i spoglądał na chlebodawców swoich po kolei, którzy słuchali go z napięciem, czytając mu niejako słowa z ust. Sam hrabia Oliński podniósł się z ławki obok pieca, i zaciekawiony rzekł:

— Kogo? Mów!

— Jacka, oszczercę, nędznika, który na was to całe nieszczęście sprowadził!

Z okrzykiem radości skoczył Kazimierz i rzucił się Piotrowi na szyję. — Dzięki ci, o dzięki, za tę wiadomość! — zawołał. — Wszystko, com wycierpiał, zapomnę chętnie, gdy teraz wiem, że nędznik ten poniósł zasłużoną karę!

Ale hrabia usłyszawszy te słowa, podbiegł ku synowi.

— Kaziu! — zawołał słabym głosem, — tak nie mówi chrześcianin i szlachcic! Moją jest zemsta, rzekł Pan, Jemu pozostaw sąd i karę. Nieprzyjaciel nasz, Jacek, skrzywdził nas ciężko, ale niegodnem jest cieszyć się z kary, jaka go za to spotkała.

Kazio spuścił głowę zawstydzony. — Przebacz, ojcze, — rzekł, — posunąłem się za daleko, łatwo to przecież zrozumieć, że w podobnych chwilach trudno jest panować nad sobą. — Ale mów, — zwrócił się do Piotra, — za co wysłano Jacka na Sybir?

— Pytałem o niego dyrektora, powiedział mi, że za oszustwo i szpiegostwo. Szczegółów nie mogłem się dowiedzieć.

— Być i to może, — rzekła hrabina, — że chciwy ten człowiek sprzedał za pieniądze nową swoją ojczyznę.

III.

Minęła wreszcie nieskończenie długa zima sybirska ze wszystkiemi okropnościami. Znać ją było w rodzinie Olińskich. Hrabia był blizkim śmierci. I stan Anulki wzbudzał coraz więcej obaw. Kto wie, jak długo jeszcze biedna matka i żona opierać się zdoła troskom ciężkim i cierpieniom, odnawiającym się codziennie. Zbladła, wychudła twarz jej nosiła niezatarte ślady przeżytych ciosów.

Burzliwa to była noc. Wiatr zachodni dobywał się do chaty drzwiami i oknami, a ciepły jego powiew stopił śniegi w kilku dniach. Ale też kraj cały w bagno się zamienił. Cała rodzina Olińskich wraz z Piotrem zgromadziła się koło łóżka chorego, który dziś gorzej się czuł, niż zwykle. Kazimierz czytał pobożne rozpamiętywania.

Nagle umilkł. — Cóż to jest? — Zdaje mi się, że ktoś do okna zapukał, — rzekł.

— To wiatr oknem wstrząsa, — odrzekła hrabina.

Po chwili zapukano znowu. — Teraz słyszałem najwyraźniej. Ktoś jest przed chatą. — Z temi słowy wstał i otworzył drzwi.

Człowiek jakiś, zbryzgany błotem od stóp do głowy, wszedł do izby. Odziany był w łachmany, włos stargany pokrywał mu głowę i kark, a siwa broda spadała aż na piersi. Wyglądał, jakby gdzieś po szyję siedział w błocie.

— Przez Chrystusa Pana, zmiłujcie się nad nieszczęśliwym! — zawołał, padając na kolana. — Dajcie mi kawałek chleba, umieram z głodu!

Z wyjątkiem chorego podbiegli



„Nędzniku!“ — krzyczał, — ty ważysz się przestąpić próg chaty tych, których wtrąciłeś w największe nieszczęście!?“

wszyscy, przestraszeni, ku nieszczęśliwemu. — Zbiegł z kopalni! — wyszeptała hrabina ze zgrozą.

Zaledwie Piotr przypatrzył się lepiej nędzarzowi, rzucił się na niego z okrzykiem wściekłości. — Nędzniku! — krzyczał, — ty ważysz się przestąpić próg chaty tych, których wtrąciłeś w największe nieszczęście!? — Przestraszonego śmiertelnie rzucił na ziemię, dławił i krzyczał: — Nie poznajecie go? To Jacek, oszczerca, sprawca waszego nieszczęścia!

— Precz, Piotrze! — zawołał teraz chory ostatkiem sił, — Kaziu, oderwij go od tego biedaka!

Silny młodzieniec ledwo zdołał oderwać Piotra od nieszczęśliwej jego ofiary, i mimo, że wrzała w nim samym nienawiść, hamowana gwałtem, zawołał: — Ależ Piotrze, znęcasz się nad bezbronnym nieprzyjacielem, nad zbiegiem! Wstydź się!

Piotr ochłonął.

— Przebacz, paniczu, — rzekł, zgnębiony. — Dziki gniew mnie porwał, gdy zobaczyłem tego łotra.

— Gdy nieprzyjaciel głodny, nakarm go, gdy spragniony, napój go, — rzekł chory wolno i uroczyście; — uczyń to, a zgromadzisz węgle żarzące na jego głowę!

Całował przytem krzyżyk swego różańca, na którym wyryty był wzór miłości nieprzyjaciół, boski nasz Zbawiciel. Słowa te wywarły na obecnych głębokie wrażenie. Hrabina wyszła do przyległej izdebki, i przyniosła resztki wieczerzy. Kazimierz zwrócił się do zbiega, który z trudem podniósszy się z ziemi, spoglądał w koło osłupiały.

— Czy wiesz, nieszczęśliwcze, u kogo jesteś? — zawołał Piotr. — U hrabiego Olińskiego, którego oszczerstwa twoje doprowadziły na wygnanie. Przypatrz się tylko temu śmiertelnie choremu, zniszczyły go troski, bóle i nędza. To twoje dzieło!

Jacek zrozumiał. Począł drżeć, z trwogą spoglądał na chorego, i sposobił się do ucieczki. Zatrzymał go Kazimierz. — Nie bój się! — rzekł. — Jesteś w domu katolika i Polaka, który pogardza zemstą. Jeśli masz jeszcze resztki sumienia, ono cię osądzi.

Z niedowierzaniem i chciwością rzucił się Jacek na podane mu potrawy, pochłonął je w mgnieniu oka i skłoniwszy się, wybiegł za drzwi.

Hrabia Oliński, wyczerpany wzruszeniem, opadł na poduszki omdlały. Ale serce jego odczuwało najsłodszą nagrodę bohaterskiego zwycięstwa nad nieprzyjacielem.

Nadszedł poranek. Hrabia Oliński konał. Zrozpaczona rodzina klęczała koło łóżka i łkając przyjmowała błogosławieństwo umierającego. Potem prosił: — Gdy mnie już nie będzie, wracajcie do ojczyzny, a jeśli to możebne, zabierzcie mnie z sobą, niechaj kości moje spoczną w ukochanej ziemi ojczystej. Słodko dla niej pracować, cierpieć i umierać.

W tem wszczął się hałas jakiś na dworze. Przed chatami, rozrzuconemi w pewnej odległości, stała gromada ludzi, zawodząc głośno i łamiąc ręce. Cóż się stało? Jeden z osiedleńców rządowych wiózł w swojej teledze człowieka, zdaje się, martwego. Po obu stronach telegi jechali dwaj konni kozacy i chcieli nieżywego złożyć w jednej z chat. Mieszkańcy chaty, również osiedleńcy, bronili się od tego wrzaskiem i błaganiem, bo według przesądów tamtejszego ludu trup nieszczęście w dom przynosi. Przy innych chatach powtarzały się te same sceny, stąd hałas.

Piotr wybiegł, aby zobaczyć, co się stało. Zaledwie spojrzał na leżącego w teledze, cofnął się i zawołał: — Bóg sprawiedliwy! Oszczercę spotkała zasłużona kara! — Kozacy, przebiegający drogi nieustannie w poszukiwaniu zbiegów, znaleźli Jacka i zastrzelili go. Piotr pobiegł do chaty, aby opowiedzieć, co widział.

Hrabina z synem wyszli potem przed drzwi chaty. Wóz podjechał, a hrabina skinieniem ręki nakazała kozakom wnieść trupa do chaty. Stało się według jej woli.

— Ten gałgan żyje jeszcze! — zawołał przytem jeden z kozaków. — O, nawet otwiera oczy! Czekaj, ptaszku, jak wyzdrowiejesz, to już my cię tu oduczymy uciekania!

— Oddychając z trudem leżał ranny na ziemi, podczas gdy o krok dalej, na łóżku, hrabia Oliński walczył ze śmiercią. Hrabina podsunęła zranionemu poduszkę pod głowę, aby mu lżej było oddychać. Wynagrodziło ją pełne wdzięczności spojrzenie. Podała mu potem wody.

— O, jaka pani dobra! — wyszeptał z trudem, — a ja tak przeciw niej grzeszyłem!

— Żałuj uczynku swego, aby Bóg tak ci przebaczył, jak my przebaczamy, — odrzekła łagodnie.

Ranny milczał chwilę, potem dał znak kozakom. Zbliżyli się. — Słuchajcie, — rozpoczął z trudem. — Oskarżyłem tego szlachetnego człowieka, — tu wskazał hrabiego, — że był podżegaczem powstania. To wszystko nieprawda, a dowody, jakie przedłożyłem, sam sfałszowałem, chciałem bowiem lekkim sposobem wejść w posiadanie jego majątku.

Z okrzykiem radości rzucił się Kazimierz ku kozakom, — słyszycie, co on mówi? Mój ojciec jest niewinny! Pamiętajcie, abyście w sądzie o tem świadczyli, że Jacek sfałszował dokumenta. — Pobiegł potem do ojca i pochylił się nad konającym. — Słuchaj, ojcze; przed tymi ludźmi Jacek przyznał się do winy, zeznał, że niewinnego skazano cię na wygnanie. Niewinność twoja udowodnioną. Ojcze, mój ojcze, teraz wszystko dobrze będzie!

Konający otworzył oczy. — Ja idę już do piękniejszej, niebieskiej ojczyzny, — odparł; — ale lepiej dla was,

jeśli udowodnicie moją niewinność. Mogę spokojnie umierać.

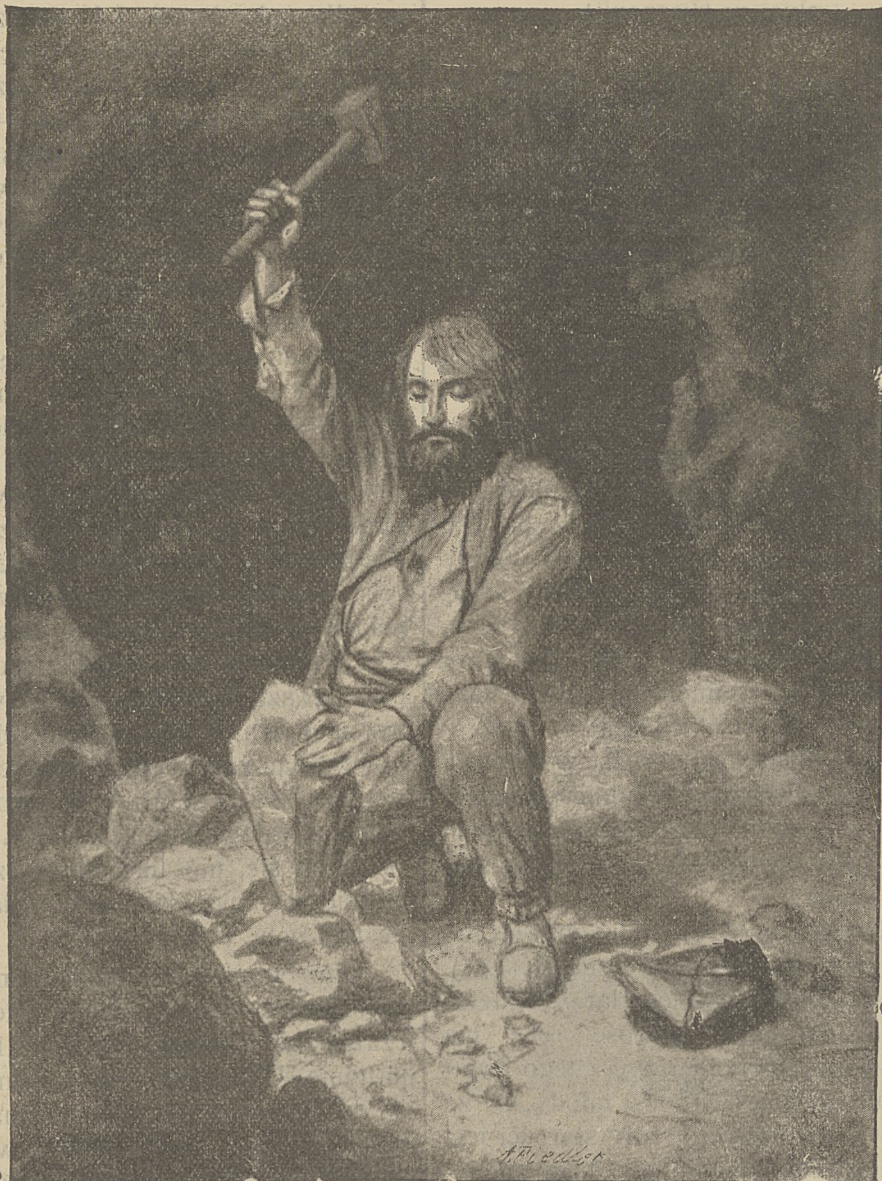
Piotr pobiegł tymczasem do miejscowego naczelnika cyrkułu, który przyszedł z pisarzem i spisał urzędownie zeznanie Jacka. Wkrótce potem umilkł Jacek na wieki.

Jednocześnie zapaliła hrabina gromnicę i dla swego konającego męża. Cicho i spokojnie przeszedł męczennik do lepszego życia, gdzie z pewnością znalazł nagrodę u Pana za chrześciańskie swoje cnoty.

Z nastaniem lepszej pory roku rozpoczęła rodzina Olińskich wraz z Piotrem drogę powrotną do kraju. Stosując się do ostatniego życzenia zmarłego, zabrali z sobą ciało jego, zamknięte starannie w dwóch trumnach.

Po wielu przygodach, trudach podróży i wśród obawy nieustannej o Anulkę, która ciągle niedomagała, przybyli wreszcie do ojczyzny. Tu przedewszystkiem złożyli w ojczystej ziemi ciało ukochanego ojca. Następnie udała się hrabina do krewnych, i przy ich pomocy czyniła starania o zwrot praw i posiadłości zgasłego męża, opierając się na spisanem urzędownie zeznaniu Jacka.

Obecnie spoczywa hrabina Olińska od dawna obok szlachetnego swego małżonka po wszystkich ziemskich cierpieniach. Syn jej zajmuje wpływowe stanowisko. Anna wyszła za mąż i jest wzorową matką i dzielną gospodynią. Wierny Piotr żył w domu hrabiego Kazimierza aż do śmierci, uważany za najlepszego przyjaciela i brata.



W kopalni syberyjskiej.

Z „Facecyi polskich“ z r. 1624.

Niewiasta, ogień, morze —
To chodzi w jednej sforze.

* * *

Zawżdy do zdrowia dobrego
Trzeba serca wesołego.

* * *

Żadne kusy nie pomogą,
Kto wędruje niecnot drogą.

* * *

U skąpego wsze niesporo:
Ukradną mu tyle czworo.



Szarża polska w wąwozie Somosierra.)*

. . . .

Szarża na śmierć przyjaciele,
I basta! Zginie — kto zginie!
Idziem w armatnie gardziele
Spojrzeć jak w oczy dziewczynie.
Jako regiment Cesarza,
My polskiej pilnujem chwały,
Chłopcy — dziś sława się zdarza —
Komendy rozkaz podały.

Nie pytać dzisiaj Mazura,
Czy będzie psiakrew, na przedzie;
Pułkownik śle Dautancour'a,
A Kozietulski tu jedzie.

Bóg wie, gdzie staniem noclegiem...
W garść cugle! Do linii konie...
Niech żyje Cesarz! —
i biegiem!...

Leci głos trąbki w szwadronie.
Znak rękawicą wzniesioną
Dał smukły jeździec junaczy. —
W skok idą, — w cieniu skał toną...
W blask idą! drogę im znaczy
Kozietulskiego bułany;
Mkną w amarancie, błękicie,
Mkną lekkokonne ułany,
Mkną w bój — na śmierć i na życie...

Tańczy na pasach z rzemieni
Szablica z ostrzonym końcem,
Zanim się krwią zarumieni,
Nim w błysku zaświeci słońcem.

Na chrzest młódź polska w dzień złoty
Idzie, gdzie drogę usłali
Waleczni; kędy piechoty
Darły się próżno; gdzie śmiali

Trupem sypali mogiły;
Gdzie mgły spływały na oczy,
Gdzie piersi tchu nie łowiły. —

. . . .

Marsz! Marsz! co koń nasz wyskoczy.

*) Nad tą chwilą, która okryła polskich wojowników nieśmiertelną chwałą, a imiona Kozietulskich, Dziewanowskich, Krasińskich, Niegolewskich opromieniła aureolą niewysłowionego bohaterstwa — zastanawieć się nie będziemy. Poświęciliśmy jej bowiem w setną rocznicę, przed niespełna czterema miesiącami, kilka stron miejsca w nr. 48 i 49 „Pracy“ z r. z.

Natomiast korzystamy tu ze sposobności, by zapoznać Czytelnika z prześlicznym wierszem o szarży polskiej w wąwozie Somosierra, napisanym przez świeżo zgasłego przedwcześnie ordynata na Opinogórzu, ś. p. Adama hr. Krasińskiego, wnuka wieszcza Zygmunta, a prawnuka pułkownika Wincentego, wodza pułku szwoleżerów polskich, zwycięzców z Napoleońskiej kampanii hiszpańskiej.

My przejdziem pierwsi — a nasze
Ciała niech Armia tu zbierze,
Lecz zatkniem polskie pałasze
Klingami na Somosierze!

. . . .

Jak krasne płoną maki — ich czaka z purpury —
Pędzący szwadron w słońcu gra, w promieniach pała,
Zakręt biorą czwórkami. — Biały dym u góry
Wyrósł,—wraz drugi, trzeci—czwarty... Grają działa.

Szalony szwadron w dym leci...

. . . .

Wy, co leżycie tam biali,
Skrwawieni — wy, Boże dzieci,
Żegnajcie!...
Myśmy zostali...

Nam jeźdźcom szumny wiatr głaszcze
Skronie, a szabla nam wrosła
Do garści... W armatnią paszczę
Patrzym, co piękną śmierć niosła.
Patrzym — i idziem do kresu,
Patrzym jak w dziewczyny lica,
Patrzym — i weźmiem — daj biesu!
My — chłopcy — polska konnica.

Nasza baterya! Psubraty
Czają się... Nie dać pardonu,
Bij wiara! Nasze armaty!
Naprzód ostatek szwadronu!
Naprzód!

— Ktoś wali się z siodła!
To Niegolewski... na Boga!

. . . .

Przeklęta mać! draniu podła!
— Ostroga koniom, ostroga!

. . . .

Albo mnie kula tu zwali,
Lub u bram Aranhuezu
Będziemy obozowali...
Albo mnie kula!...
— O, Jezu!

. . . .

Nie tak łatwo człowiekowi wyjąć ze swojej duszy cel, w który wszystkie swe pragnienia, całą swoją istotę włożył. Jednak do mądrości należy cofnąć się, kiedy nie można iść naprzód.
Józef Gołuchowski.

* * *

Nigdy do syta napatrzeć nie możesz się temu, co z istoty swojej wielkie i piękne i treści głębokiej; bo piękność podobnie jak prawda, jest bez granic i niewyczerpana nigdy; więc ktoby w przedmiocie nieskończonym a bez granic widział jakieś granice i rzecz oddawna wyczerpaną, to chyba dla ograniczenia swojego własnego umysłu a wyczerpanej treści ducha swojego. *Józef Kremer.*



Aleksander Kraushar.

Gawęda wiarusa.

(Wspomnienie z kampanii napoleońskiej w Hiszpanii).

Jeśli puścisz wzrok po błoniu, ujrzysz chatkę na ustroniu, chatkę starą, nizką, białą, pochyloną prawie całą... Dach jej zgarbion ugiął głowę. Leżą na nim liście płowe, z drzew stojących naokoło, które dumnie wznoszą czoło, i jak gdyby strzegły chaty, wysunęły dąb na czaty.

Dąb pochyły z ławką małą, gdzie siadywał wojak Dusza, z wąsem siwym, czapką białą, z szablą starą u kontusza. Wszak to wojak zawołany, w bitwach rącze wodził tany, był w Hiszpanii za cesarza, z długą wokół czoła blizną; łeb przypruszył czas siwizną, kark ugięty od bagaża; miło słuchać, gdy pod drzewem siędzie bajać na wpół z gniewem, i do siebie dziatwę nęci. W ręku stara drga szablica, promienieją ogniem lica: czasem łza się w oku kręci...

A gdy dziatki go okrążą, wieńcem z rącząt go obwiążą; to żołnierza nawet bawi... więc odburknie się z uśmiechem, że aż lasy wtórzą echem, i tak im swe życie prawi:

„Het mosanie! czas już mija! czas już mija, lgnie do ziemi stara szyja, gdy człek wspomni młode lata... i gdzież dawna moja siła? starość rękę mą skurczyła, czas już ruszyć z tego świata! tak, mosanie! Nie wie młody, co za klejnot ma z swobody, gdy starości jest z daleka; cóż, żem silny, zdrów na duchu; gdy mi braknie sił i ruchu; tęgi, śmiały — lecz kaleka! kolej życia mi już zbrzydła, śmierć niedługo złapie w sidła: jej i szabla nie zagrozi! choćbym śmiało stawił czoło, gdyby wróg tu stał w około... jednak starość krew już mrozi...

Nie tak żyło to przed laty! — człek był silny, zdrów, zakaty! pląsał śmiało po tym świecie... — lecz ja nudzę, moje dzieci! wieczór blizki, czas już leci, a wy jeszcze nic nie wiecie...

Ot! w Zakraju — pięknej włości, którą trzymał podstarości, żyła moja dobra matka... przy niej bąki to zbijałem; ojca wcale nie widziałem, bo legł — walcząc do ostatka...

Młodość moja, miły Boże! tak przebiegła jak wód morze... że aż wspomnieć dzisiaj miło... co za ogień lśnił w mem oku, gdym szabelkę czuł przy boku, rzekłbyś — we krwi się paliło! nie ma drzewa, panie miły, z którembym nie zmierzył siły... Pląsać, skakać, biedź przez pole, to najmilsze me swawole; wszędzie byłem — w piekle chyba noga moja nie postała! szabla też nie próżnowała! byłem w bitwie pod Możajskiem, i pod Moskwą, Elstrą rzeką, i Bóg sam wie jak daleko! aż do wstęgi się dobiłem!...

Niechaj każdy tu uważa! dostać wstążkę od cesarza, jak się zdaje — rzecz nie mała! Trzeba bić się oczy w oczy, choć twe oko śmierć już zoczy, tam gdzie rozkaz generała! — bić się rączo... w lewo! w prawo! zawsze dzielnie, zawsze żwawo... prosto w ogień! Het! mosanie, czasu na to i nie stanie, bym chciał skreślić bitwy swoje: bo co człowiek widział w świecie, to nie spisać i w kajecie! Tak się snują myśli roje... jednak gdy przypomnę sobie, co się działo ze mną zrazu, aż mnie na śmiech się zabiera, jakem zwiódł raz grenadyera, mimo woli, lecz z rozkazu.

Gdyśmy weszli do Granady, posłał kapral mnie na zwiady, bo przez kilka coś miesięcy, nie robiliśmy nic więcej, tylko zawsze zwiady, czaty. Był to kiepski czas zakaty! siedzieć ciągle, czyścić bronie, siodłać konie, zjeżdżać konie; zawsze w pracy, zawsze w znoju, być niepewnym godzin boju; ej, wolałbym tysiąc razy pełnić sroższe wręcz rozkazy, iść do szturmu, w lewo, w prawo, to i człowiek idzie żwawo... tu zaś — pilnuj się, mosanie, patrz czy wróg cię nie zastanie smacznie śpiącego w pustem polu, to i zmudno.

Otóż w naszym pułku, panie, był grenadyer... Cięta sztuka! łeb miał czarny jak u kruka, krzyżyk legii na kaftanie. Chłop był tęgi, dzielny śmiały, lecz miał jeden błąd nie mały: zamiast wody — spijał wino... więc gdy się spił już jak bela, chociaż zdala wróg doń strzela: on nie zważa. Pod drzewiną staje z koniem — nogę w strzemię, i w najlepsze sobie drzemie. Nawet gdy był na szyldwachu... myśmy zawsze byli w strachu, by mężnego grenadyera raz nie sprzątnął Hiszpan srogi; bo jak Hiszpan wręcz naciera, zaraz wpija w bok ostrogi... my więc chcąc mu dać naukę, układamy taką sztukę.

Raz znalazłem w placu boju kilka płaszczów, dwa czapraki, w każdym płaszczu po naboju i hiszpańskie mantelzaki. Jam to doniósł wachmistrzowi, co zrobimy z grenadjerem, gdy się ptaszek w sidła złowi.

Dzień się już miał ku schyłkowi. My na siebie bierzem płaszcze, tak jak noszą je Hiszpanie; fajkę każdy włożył w paszczę, każdy sztylet miał w kaftanie. — Trzeba wiedzieć, że kamraci, niech im Bóg za to odpłaci, o tym spisku już wiedzieli i do niego należeli.

Patrzym! na rozstajnem błoniu stoi

wiarus na szyldwachu, oparł głowę swą na koniu. Gdyśmy bliżej postąpili, uczuliśmy po zapachu i po oczach, co jaśniały, że choć myśmy też wypili, każdy spory haust gorzały, to grenadyer pił w dwójnasób, że aż wąsy mu sterczały!

Więc podchodzim doń w milczeniu, bronie z olster wyjmujemy; pas spinamy przy strzemieniu i w tył ręce związujemy... bo grenadyer gdy był spity, tak spał twardo jak zabity! Ja podchodzę: — „Gdzie broń twoja!?“ mówię doń obcą manierą... Błysły oczy u opoja... *He, bon giorno cobbalero!* Tu grenadyer skoczył z siodła, chce do olster — broni niema! a sznur silnie ręce trzyma... Zdrada widać go ubodła... więc ze złości się aż żżyma... „Zdrada! — krzyknie, — hej kamraty! tu kamraty! tu Hiszpanie są, psubraty!“

My wiążemy grenadyera, chociaż silnie się opiera... *Nolens, volens,* my na konie, stępel w usta, czyścim bronie, ja na migi mu wskazuje, że tu śmierć mu się gotuje, więc żeby się wyspowiadał. A gdym mu to wszystko gadał, inny chustą wiąże oczy i do bliskiej ściany toczy.

On — choć wściekłość nim miotała, stanął cicho głowa w górę; my na rozkaz jenerała, paff! z fuzyjek — ale w chmurę...

Wiarus patrzy — kuli nie ma, więc ze złości się aż żżyma. — „Cóż to! czyli się boicie, czyż wy mierzyć nie umiecie?“ My w śmiech. Płaszcze odrzucamy, jemu chustę z ócz zrywamy. „Bracia! cóż to!“ — on zawoła... I któż to opisać zdoła? jemu łzy się potoczyły i choć jeszcze był podpiły, jednak poznał figiel braci, przeczuł żarcik ów kamraci. „Więc to, rzecze, — żart haniebny“, a my na to: „Lecz potrzebny; bowiem gdyby nie ta sztuka, tobyś pewno już był w grobie, niech ci służy ta nauka, niech nie świta we łbie tobie!“

Odtąd wiarus nie pił wina, bo gdy kiedy chciał go, panie, każdy wówczas przypomina: „Ej! zabiją cię Hiszpanie!“

Przekonałem się, że tylko miłość bliźnich ziszczona przez dobre czyny jest szczęściem dla ludzi. Najprzyjemniejsze uczucia znajdują się w dobroczynności dla ludzi, — i przeto ten tylko postępuje najlepiej do celu swego Stwórcy, kto przez ciąg swojego życia poprawia los, powiększa szczęśliwość drugich ludzi. Stanisław Staszyc.

* * *

Kto jest najroztropniejszym, ten też najlepszym być może prorokiem, bo roztropność jest poznawanie, obieranie i używanie środków, skutecznych do końca upatrzonego.

Jan Bohomolec.

Paula Wężyk.

Kocham Cię Boże!

Kiedy spojrzeniem pełnem zachwytu
Patrzę w toń cudną niebios błękitu,
Kiedy podziwiam poranne zorze
I słonka pierwsze, złote promienie,
Wtedy pierś wdzięczne wznosi westchnienie:
Kocham Cię Boże!

A gdy mnie troska ku ziemi gniecie,
Gdy życia taczkę ciężko pchać w świecie
I ból zawodu nieraz mnie zmoże
I ciężką walką serce me targa,
Znowu z ust cicha wypływa skarga:
Smutno mi Boże!

Ach, a gdy czasem bunt zawrze w duszy,
Co wszystko jasne wnet wniwecz kruszy
I nie chcę krzyża dźwigać w pokorze,
Strwożona biegnę, klękam z pośpiechem,
Głos mój drży serca najszczerszem echem:
Przebacz mi Boże!

Przebacz mi Boże! Radość gorąca
Serce rozgrzewa jak promyk słońca,
Że znów do Ciebie powrócić może,
Dusza trosk nowych znowu jest chętną,
W sercu gorętsze uderza tętno:
Kocham Cię Boże!



W rozdrażnieniu.

(Humoreska).

.....Zabiłem ją!..... zamordowałem!.....

Jedno uderzenie... jedna chwila szalonego, nerwowego rozdrażnienia — i nie cofnie nikt, nie naprawi nikt tego, co co spełnione... Życie nie wróci już nigdy! nigdy!

I oto leży u nóg moich wątła, słabiuchna, jak była za życia, dziś nieruchoma na wieki... W przedśmiertnym strachu przed brutalnym moim ciosem skurczone nożęta zastygły, czarna główina niemym wyrzutem żałoby odcina się od tła piaskowego dywanu, leżącego przed mem biurkiem.

Czy ja chciałem ją zabić? W tej chwili nie zdaję sobie z tego sprawy. A wszakże wczoraj ucieszyłem się z jej przybycia... nie byłem już tak straszliwie sam w mojej kawalerskiej pustelni!

Biedne chudziątko! Zwierzętom daje Bóg futro, ptakom pierze chroniące je od zimna... A ona? Cóż miała począć, gdy nagle sypnęły chmury śniegu, a mróz piekącym bolem ścisnął drobne jej nóżki?

Przez odchylone wypadkiem drzwi mego mieszkania ujrzała światło lampy, w piecu węgiel salonowy trzaskał wesoło... Ucieszyłem się ujrzawszy ją! Widząc, że głodna, nie broniłem jej resztek herbaty ciepłej i okruszyn bułki... A gdy usiadła obok mnie lub biegała po pokoju — miłe wrażenie wiosny napełniło duszę moją. Śniły mi się na jawie młode lata spędzone nad brzegami rzeczułki z wędką w ręku i z muszką wbitą na haczyk jako przynętą na kiełbiki.

Przypomniałem sobie, jak to mnie ojciec raz obił i za ucho poprowadził do szkoły, którą opuściłem wskutek namiętności rybackiej.

I tyle, tyle innych obrazów i scen przesuwało się przed oczyma mej duszy — gdy ona wesoło pląsała po mieszkaniu!

A wszystkiego chciała dotknąć, to tu usiadła na chwileczkę, to tam — to tam — to znów dalej.

Stało się!

Już nie zadrga życie w tem delikatnem ciałku...

Oszalałem! Porwałem co mi wpadło pod rękę i...

Ale te nerwy... Ach te moje nerwy! Rzucam się cały jak w febrze za połechtaniem łysiny...

Pisałem właśnie sonet hiszpański i nadgryzałem wściekły drugą obsadkę celem znalezienia trzeciego rymu do „Manzamares“ i „pugilares“ — gdy siadła mi na czubku głowy!

Pięć razy machałem pięścią — pięć razy wracała, żeby cieniutkiemi łapkami drażnić i łechtać mnie na nowo.

Zerwałem się jak szalony — ręcznik złożyłem we dwoje... Usiadła na biurku, mach! bęc! nie żyła, spadła na dywan!...

Jedna, jedyna w połowie marca... Zabłąkała się do mnie... lubiłem jej brzęk wiosenny. Powtarzałem z lubością: „Brzęczą muchy — wiosna będzie!... Przepadło!

Oto co znaczy działać — w rozdrażnieniu!

Jest w człowieku siła, na której rzadko kto się poznał, rzadko kto użyć jej umiał. Siła to czarodziejska, która dokazuje cudów: podbija pod swą władzę wszystko, co ją otacza, pęta żywioły przeciwne, walczy zwycięzko z czasem, z przestrzenią, z zniszczeniem; której potęgą wznoszą się dzieła olbrzymie, stają się cuda niepojęte, — tą siłą jest wola! Całe życie praktyczne stoi na woli; brak jej czyni niewolnikiem, jak posiadanie jej — władcą.

J. I. Kraszewski.

* * *

Wiadomości.

* **Wyższe kursy handlowo-ekonomiczne.** W miarę rozwoju handlu i przemysłu rosną wymagania pod względem wykształcenia zawodowego osób pracujących w tych dziedzinach zarobkowych. To też zakładaniu wyższych i średnich szkół handlowych poświęca się obecnie więcej uwagi, niż kiedykolwiek. Aby brakowi, jaki na tem polu w Poznaniu istnieje choć w małej części zaradzić, zorganizowało kilka osób wyższe kursy handlowo-ekonomiczne. Kursy te, mające charakter ściśle zawodowy, rozpoczną się 15-go marca i trwać będą do końca czerwca. Wykłady odbywać się będą wieczorem 3 razy w tygodniu po 2 godziny. Obok regularnych wykładów urządzać będą prelegenci raz w miesiącu kollokwia z wykładanych przedmiotów. Udział w kursach brać mogą osoby obojej płci, które ukończyły lat 18.

W zakres tegorocznych kursów wchodzą następujące przedmioty:

1. Prawo handlowe i wekslowe 1 godz. tyg. prelegent Dr. Mieczkowski, adwokat.

2. Prawo hipoteczne, spółkowe i czekowe 1 godz. tyg. prelegent Dr. Paczkowski, adwokat.

3. Zasady ekonomii społecznej 1 godz. tyg. prelegent Dr. Głowacki, egz. rewizor ksiąg.

4. Ekonomia praktyczna: handel i przemysł 1godz. tyg. prelegent Dr. Hęcia, członek zarządu banku.

5. Nauka o skarbowości 1 godz. tyg. prelegent Dr. Bajoński, członek zarządu banku.

6. Bilanse i korespondencye handlowe z ćwiczeniami praktycznemi 1 godz. tyg. prelegent Dr. Głowacki, egz. rewizor ksiąg.

Opłata za całkowity kurs wynosi mrk. 30. — Informacyi udziela Dr. Głowacki, egz. rewizor ksiąg, Poznań, ul. Wiktoryi 17 I. Telefon 1421.

* **Ze sprawozdania Banku Przemysłowców w Poznaniu.** Bank ogłosił drukiem swe sprawozdanie roczne. Podajemy z niego następne dane: Członków liczył Bank z końcem roku obrachunkowego: 5896 — którzy wraz z odpowiedzialnością reprezentują sumę 5 881 202 mrk. Depozytów było w Banku z końcem roku 18 831 120 mrk. Fundusz rezerwowy wynosi 300 000 mrk., rezerwa specyalna 79 015 mrk. Wszystkie rezerwy Banku wynoszą obecnie 636 tysięcy 865 mrk. Kapitału obrotowego było 26 109 700 mrk., a cały obrót wynosił 105 478 086 mrk.

Według propozycyi zarządu i Rady Nadzorczej przekazano na walnem zebraniu, odbytem dnia 5-go b. m. z zysków z roku 1908 wynoszących mrk. 468 022,95, do rezerwy nadzwyczajnej 10 procent marek 46 802,30, do funduszu emerytalnego 5 proc. m. 23 401,15, na dywidendę za rok 1908 7 proc. mrk. 377 665,30, dla dwóch wdów po zmarłych członkach zarządu po 1000 mrk., marek 2000,—, na fundusz śp. radzcy Chlebowskiego 3000,— jako remuneracyą dla Rady Nadzorczej za 2550 posiedzeń po 5 m. 12 750,— razem marek 465 618,75, pozostałą resztę marek 2 404,20 do funduszu jubileuszowego.

W myśl propozycyi dyrektora Banku p. Brylińskiego podwyższyło walne zebranie wobec olbrzymio wzmagających się z każdym dniem interesów Banku wysokość depozytów do 30 milionów marek, a wysokość pożyczek poszczególnych do półtora miliona marek.

* **Ze sprzedaży** kart gratulacyjnych i kondolencyjnych, zastępujących telegramy, wpłynęło w dalszym ciągu do kasy skarbniczki, pani drowej Kusztelanowej w Poznaniu 112 mrk. 5 fen.

* **Na fundusz imienia śp. dra Romana Szymańskiego** złożono w dalszym ciągu:

Tow. przemysłowe w Górczynie 15 mrk., Tow. przem. w Lwówku 25 mrk., za pośr. p. L. Miklaszewskiego z Poznania 35 95 mrk., Tow. przem. w Głównie 10 mrk., za pośr. p. Krajny z Poznania 60 mrk., Tow. przemysłowe w Czempiniu 20 mrk. — Razem 170,95 mrk., dawniej 2062,70 mrk. razem 2233,65 mrk.

Poznań, dnia 4-go marca 1909.

Dr. Szulczewski, skarbnik.

* **Gołańcz.** W poniedziałek, 22-go lutego, pobłogosławił na mszy św. ks. proboszcz Szukała w tutejszym kościele parafialnym związek małżeński pomiędzy p. Wojciechem Prillem, kupcem i obywatelem z Bysławia (Pr. Zach.), a panną Heleną Cholewińską, córką właściciela składu bławatnego i restauracyi p. Jana Cholewińskiego i małżonki jego Rozalii z Barczów z Gołańczy. Świątynię przyozdobiono w zieleń. Po uroczystości kościelnej, do której uświetnienia przyczyniło się nie mało kółko śpiewackie kościelne pięknemi śpiewami, bawiono się wesoło w gronie krewnych i ściślejszych przyjaciół przy dźwiękach muzyki w znanym z szczeropolskiej gościnności domu rodziców panny młodej. Młodej parze przesyłam staropolskie: „Szczęść Boże!

Gość.

* **Wejherowo.** Prusy Zachodnie. Chemiczna fabryka pp. C. Warczyński i Sp. nabyła drogą kupna zabudowania i teren p. Kralewskiego włącznie dawniejszej fabryki cygar p. Trespa tuż przy dworcu położone celem znacznego powiększenia fabryki ich słynnego proszku do prania „Blendy.“

* **Górale Z. Pr.** dnia 8. III. 1909. Na niedzielnym wiecu „Straży“ za staraniem starosty p. Bardzkiego zawiązało się lokalne stowarzyszenie.

Do zarządu należą jako prezes p. Feliks Olszewski, jako skarbnik p. Bronisław Uszler, jako sekretarz p. Ludwik Zbrojski w Góralach.

Na członków zapisało się na razie 36 osób. Dalszy zapis przyjmuje p. L. Zbrojski w miejscu.

Przyszłe kwartalne zebranie odbędzie się w niedzielę 23-go maja b. r. o 5-tej godz. po poł. u p. Sikorskiego.

* **Lidzbark. Z. Pr. Wiec „Straży“ w Lidzbarku** Z. Pr. w celu zawiązania lokalnego Stowarzyszenia odbędzie się w niedzielę, 14-go marca o 4-tej godz. po poł. w hotelu pod trzema koronami.

Szanownych członków proszę o zabranie książeczek legitymacyjnych.

O liczny udział prosi w zebraniu szanowne rodaczki i rodaków — z miasta i z okolicy.

Bolesław Bardzki, starosta.

* **Berlin.** Zarząd tutejszego Towarzystwa „Oświata“ wydaje, jak wiadomo „Szkółkę pisowni polskiej.“ *) „Szkółka“ umożliwia dzieciom polskim nauczenie się bez pomocy szkoły początkowego pisania i czytania polskiego.

Zeszyt I: zawiera: głoski jednostopniowe z dokładnemi objaśnieniami wykonania każdej litery z osobna: liczby od 1—10.

Zeszyt II: składownią głosek jednostopniowych na sylaby i wyrazy; liczby od 1—100.

Zeszyt III: głoski dwustopniowe w „dół“ i w „wyż“ z dokładnemi objaśnieniami; — pisownią zdań całkowitych w trudnych, różnobrzmiących wyrazach.

Wszystkie trzy zeszyty zaopatrzone są w nagłówki, zawierające napomnienia, zdania i przysłowia treści moralnej.

Po lewej stronie na załamku znajdują się odnośne głoski drukowane.

Gdy Tow. „Oświata“ przekona się, że pierwsze 3 zeszyty „Szkółki“ znajdą popyt w społeczeństwie i że zamiar jego niesienia początków oświaty polskiej dziatwie naszej i tym Polakom, którzy po polsku dobrze pisać nie umieją, znajdzie należyty oddźwięk w społeczeństwie, przystąpi niezwłocznie do wykonania II. seryi „Szkółki,“ zawierającej także 3 zeszyty, a kończącej naukę poprawnego polskiego pisania.

Aby jaknajbardziej rozszerzyć „Szkółkę pisowni polskiej“ i przez to przyczynić się do oświaty najmłodszego pokolenia polskiego, któremu zewsząd grozi niebezpieczeństwo zniemczenia, ustanowiło Tow. „Oświata“ cenę możliwie niską. Podjęło bowiem to wydawnictwo w celu idealnym, nie dla zarobku i liczy na to, że społeczeństwo w własnym interesie je poprze. Towarzystwo „Oświata“ będzie zadowolone, jeżeli tylko pokryje koszta, które są znaczne.

W tej myśli odzywa się do wszystkich Towarzystw polskich w kraju i na obczyźnie, księgarń, składów i przedsiębiorstw polskich, żeby te zeszyty zaprowadziły, polecały i sprzedawały.

Cena zeszytu w hurtownej sprzedaży wynosi 10 fen., cena pojedyńczego zeszytu 15 fen. Dla Towarzystw oblicza się hurtowną cenę (10 fen. za zeszyt) już przy zakupieniu najmniej 10 zeszytów. Dla księgarń odpowiedni rabat.

Nadto Towarzystwom tutejszym, któreby chciały rozpowszechnić większą liczbę „Szkółki,“ a nie mogą z góry za nią zapłacić, da „Oświata“ każdą żądaną ilość (więcej niż 10) w komis.

Główna administracya i ekspedycya „Szkółki pisowni polskiej“ znajduje się u skarbnika naszego Towarzy-

*) Patrz „Nowe książki i treść pism“ w numerze 2-im r. b. na stronie 47-ej. — Przyp. Red.

stwa p. Michała Wróbla — Berlin, Elisabethufer nr. 50.

Duchowieństwo polskie i Towarzystwa nasze prosimy, żeby „Szkółkę“ w interesie oświaty ludu popierali. Rodzice zaś polscy powinni sobie uprzytomnić, że wobec istnienia „Szkółki pisowni polskiej“ nie może dziś nikt się zastawić brakiem lub niemożnością uczenia dzieci polskich ojczystego języka.

Nekrologia.

† Ś. p. **Helena Piotrowska,** dnia 25-go z. m. w Komornikach pod Stęszewem, w 17-tej wiośnie życia. — **Ś. p. dr. jur. Leonard Radecki** z Krotoszyna, dnia 2-go b. m. w Berlinie. — **Ś. p. Józefa z Pawłowskich Błażakowa,** dnia 4-go b. m. w Poznaniu, w 60-tym roku życia. — **Ś. p. Franciszek Wolski,** były dziedzic Rzepisk, członek Zarządu Banku ludowego w Wolsztynie, dnia 4-go b. m. w Wolsztynie, przeżywszy lat 64. — **Ś. p. Walenty Rosiński,** dnia 5-go b. m. w Śremie przeżywszy lat 74. — **Ś. p. Rozalia Brylińska z domu Sztechman,** dnia 5-go b. m. w Poznaniu, w 45-tym roku życia. — R. i. p.

Od Redakcyi.

— **Pana W. W., czytelnika „Pracy“ z pod Kościana,** — który nam nadesłał piękne wierszowane rozwiązanie zagadki z numeru 9-go, prosimy o łaskawe podanie imienia, nazwiska i miejscowości, celem wysłania przeznaczonej nagrody.

— **Panu Stanisławowi J. we Wrześni.** — Dziękujemy za łaskawą pamięć, ale nadesłana zagadka nie nadaje się do zamieszczenia w „Pracy“ dlatego, że treść jej jest czysto religijna, a przecież nie godzi się nadużywać naszych świętości do takich celów jak zagadki, łamigłówki i t. p.

— **Pani J. w Pl.** (Prusy Zach.) — Wiadomość zamieściliśmy z powodu braku miejsca w streszczeniu.

— **Panu A. P. w Bochum.** — Z dopisku nadesłanego do korespondencyi nie mogliśmy korzystać, gdyż korespondencyę z Horsthausen zamieściliśmy już w nr. 9-tym. Zasyłamy miłe pozdrowienie.

— **„Ciekawemu.“** — Nie mówi i nie pisze się „gratis ago“ tylko „gratias ago,“ co znaczy: dzięki składam; „gratis“ wyraz tak samo, jak tamten łaciński, znaczy: bezpłatnie, darmo.

—**Pani S. K. w W.** — Rozwiązanie z nr. 8-go otrzymaliśmy o tydzień spóźnione.

— **Panu Janowi M. w Krakowie.** — Odebraliśmy, dziękujemy za łaskawą pamięć.

— **M. M. 100.** — Wiersza „Z chwil trwogi“ nie zamieścimy, ponieważ jest zbyt słaby.

— **Poznaniance J. A.** — Przedewszystkiem prosimy o łaskawe wystąpienie wobec redakcyi „z otwartą przyłbicą.“

Kalendarzyk historyczny

Dnia 14-go marca 1585 zerwanie sejmu przez Grudzińskiego i związek na króla. — 1611 Moskwa pobita pod Smoleńskiem. — 1633 synowie Zygmunta III. składają przysięgę wierności. — 1801 śmierć Ignacego Krasickiego. — 1812 tajnym traktatem Austrya przyrzeka zwrócić zabór Polski.

Dnia 15-go marca 1034 śmierć Mieczysława II. — 1412 przymierze z Węgrami w Lubomli. —1577 zwołany sejm do Włocławka. — 1794 powstanie jenerała Madalińskiego. — 1818 pierwszy sejm w Polsce Kongresowej. — 1831 odezwa jenerała Dwernickiego do obywateli zabużańskich. — 1849 jenerał Bem zdobywa Hermanstadt.

Dnia 16-go marca 1331 Jan, król czeski, ziemię dobrzyńską nadaje Krzyżakom. — 1409 Krzyżacy wyrzynają w Wołkowysku lud zgromadzony w kościele. — 1747 wojewoda Adam Tarło ginie w pojedynku pod Marymontem.

Dnia 17-go marca 1238 śmierć Henryka Brodatego. — 1642 śmierć Józefa Zadzika, biskupa krakowskiego. — 1659 sejm nadzwyczajny w Warszawie. — 1826 Józefa Maksymiliana Ossolińskiego. — 1832 założenie towarzystwa demokratycznego polskiego.

Ddnia 18-go marca 1241 klęska od Tatarów pod Chmielnickiem. — 1829 ogłoszenie wyroku sądu sejmowego.

Dnia 19-go marca 1503 śmierć Fryderyka Jagiellończyka, kardynała. — 1744 śmierć królowej Katarzyny Leszczyńskiej. — 1767 konfederacya toruńska. — 1790 zasady konstytucyi sankcyonowane. — 1823 śmierć Adama Czartoryskiego, jenerała ziem podolskich.

Dnia 20-go marca 1605 uwolnienie Smoleńska od oblężenia Moskwy. — 1673 śmierć Augustyna Kordeckiego. — 1760 zaślubiny księcia Karola z Franciszką Krasińską. — 1848 uwolnienie Polaków z więzienia w Moabicie. — 1848 utworzenie w Poznaniu komitetu narodowego.

Humor i satyra.

Aforyzmy postne.

Jak właściwie mają post obchodzić jarosze?... Jedzą zapewne mięso?!

* * *

Biedacy nigdy nie święcą szynek na Wielkanoc — bo ich nie mają.

* * *

W poście powinny być śluby dozwolone... bo przecież w poście idzie się na krzyżowe drogi.

* * *

Post *festum* — mówią ludzie. Ja myślę, że większe *festum* jest w karnawale.

* * *

Perła.

Teściowa „piłuje“ zięcia.

— Tak mój panie zięciu!... Moja córka — nie byle co! Moja córka — to prawdziwa perła!

— Taak? Przepraszam mamę... A zkąd ta perła pochodzi?

* * *

Humor amerykański.

— Wyobraź sobie: idę z swoją ukochaną. W chwili, kiedy mam się oświadczyć — wpada mi mucha do nosa... kicham.

— Mnie się lepiej zdarzyło! Na przechadzce wpadła mi jaskółka do oka.

— Czy być może?... i?

— Wyleciała drugiem okiem.

— To ja miałem lepszy kawał. Śpię ja raz w lesie. Wchodzi mi do ucha niedźwiedź.

— ? —

— Był to jarmarczny niedźwiedź. To też napotkawszy na bębenek zaczął całemi siłami w niego walić.

— ? —

— Wobec tego pobiegłem do sąsiedniej pasieki, wziąłem ul i przyłożyłem go do ucha. Jak ci wiadomo niedźwiedzie szalenie miód lubią. To też „miś“ wyszedł i zaczął miód zajadać.

— No — a pszczoły?

— Te właśnie uciekły z ula i usiadły na twoim mózgu!

* * *

Dla czego się nie żenię?

Zapytał mnie raz pewien ktoś,
Co związek dusz ma w cenie:
Dlaczego w celibacie trwam?
Dlaczego się nie żenię?

A gdy mi małżeństw chwalił czar,
Ja w niego wzrok utkwiłem,
I tak mu oto całą rzecz —
Konkretnie wyłożyłem:

Jam brzydki jest — jak leśny Faun,
I ważę dwieście kilo,

Zaś żonę chcę powiewną mieć,
Jak Venus piękną — z Milo!

Cóż taić? Ze mnie stary grzyb
I w zgięciach drżą mi nogi,
Zaś żonę chcę mieć w wiośnie lat,
By od niej brać ostrogi...

Ja nie mam w swojej kasie nic,
Więc pragnę właśnie za to
Mieć za małżonkę tylko tę,
Co będzie też bogatą...

Jam przyszedł na świat (mówią tak!)
Podobno — gdzieś pod gruszką,
Niechżeż więc będzie żona ma
Koniecznie — patrycyuszką...

A gdy mi taką właśnie dasz,
Jam rzekł na zakończenie —
Nie będę żadnych stawiał tam
Napewno się ożenię!

* * *

Nerwowy.

— Mąż pani podobno chory?

— Tak, niestety: ogromne rozdrażnienie nerwowe...

— Czemże się to objawia?

— Proszę pani, niech tylko na cokolwiek spojrzy... na karty, naprzykład... na butelkę — to się mu zaraz ręce trzęsą, a oczy błyszczą jak u kota... Podobno biedaczek, od wczesnej młodości był taki nerwowy...

* * *

Słusznie.

Niewiasta (w podróży do chłopa palącego fajkę). Nie mogę znieść palenia.

— Bo też to i nie przystoi niewiastom.

* * *

Dłużnik honorowy.

— Powiedz mi, co taki Y. sobie myśli... Od czasu założenia naszej instytucyi, wziął z niej, jako członek, pożyczkę i dotychczas ani grosza nie zwrócił.

— Ha, nie mogąc w niej zostać członkiem honorowym pragnie widocznie zostać przynajmniej — dłużnikiem honorowym.

* * *

Sprytna Marysia.

— Marysiu, ile dziś stopni ciepła?

— Kiedy, proszę pani, jeszcze sie dziś w piecach wcale nie paliło.

* * *

W restauracyi.

Gość: — Ależ, mój panie, podano mi jaja zepsute!

Restaurator: — Nic dziwnego, panie dobrodzieju... Teraz wogóle na świecie jest takie zepsucie, że nawet kury zepsute jaja niosą.

* * *



Nie wie jaką otrzymał odpowiedź.

Gogo Gapski, pyta Czapskiego, jaką otrzymał odpowiedź, gdy się oświadczył o córkę bogatego blacharza.

— Właściwie nie powiedział ani tak, ani nie! Prawił coś o tem, że lepszy dłań uczciwy rzemieślnik, jak pyszałkowaty urzędnik, ale ja mu nagadałem odwrotnie, że honor dla rzemieślnika, gdy za urzędnika wyda córkę.

— A on cóż na to?

— Nic!

— Przecież musiał w jakiś sposób wyjawić swoje zdanie.

— Wyrzucił mię za drzwi.

* * *

W pewnym salonie.

(Rozmowa).

— Oto portret Iksowej, żony pantoflarza...
— Znam ją, babsko na sztukę zajadłe, jak mało,
Niedość, że się sama maluje — zachciało
Jej dać się wypędzlować jeszcze — przez malarza.

Łamigłówka.

Ułożyła czytelniczka „Pracy“, Jadwiga Nieniewska z Poznania.

Ułożyć 18 wyrazów, których **drugie** litery, czytane od góry do dołu utworzą **imię i nazwisko** znanego, polskiego bajkopisarza (wielkiego przyjaciela dzieci.

ZNACZENIE WYRAZÓW.

1. Nazwisko poety polskiego, 2. miasto w Grecji, 3. nazwa miesiąca, 4. owoc południowy, 5. liczba, 6. kwiat jesienny, 7. barwa, 8. arystokrata rzymski, 9. imię ruskie, 10. bohater trojański, 11. kraj w Azyi, 12 człowiek wiedzy, 13. określenie czasu, 14. tytuł dramatu H. Ibsena, 15. imię żeńskie, 16. sławny matematyk starożytny, 17. zdrobniałe imię żydowskie, 18. część świata.

Rozwiązania prosimy nadsyłać do dnia 20-go marca włącznie.

Później nadesłanych rozwiązań nie uwzględnimy.

Przy rozdawaniu nagród uwzględnimy tylko te osoby, które nadesłały dokładne rozwiązanie tak łamigłówki jak też poszczególnych wyrazów.

Później nadesłanych rozwiązań nie uwzględnimy.

Rozwiązanie łamigłówki zamieszczonej w nr. 9-ym:

Mur
Abome
Rum
Cło
Indor
Nurek

Marcin Kremer.

Dobre rozwiązanie nadesłali: *z Poznania* pp. Jadwiga Nieniewska, Ł. Kwarciński, Janek z pod Góry Przemysłowa, F. Kaweczyński, M. Bajerlein, Roman Namorski (pseudonim); *z prowincyi*; pp. K. Laskowski z Ostrowa, H. Palczewska ze Środy, S. Rychlicki z Krotoszyna, Jan Wachowski z Niechanowa, J. Spychalska z Roska, W. Szejner ze Słomowa, A. Gwóźdź z Zielińca, J. Narowska z Wódek, Fr. Nawrocka z Żabiczyna, A. Maślanka z Dziembowa; *z Prus Zachodnich:* pp. B. Pawłowski z Zakrzewa, F. Wiszniewski z Jaźwisk; *z Górnego Śląska:* pp Jadwiga Badura z Roździenia, I. Spychalska z Gosławic; *z Galicyi:* pp. M. Świtkowska z Krakowa, Kierski z Truskawiec, J. Sułkowski z Łukowicy, A. Rejman z Łąki, Br. Ludwik z Mogiły; *z obczyzny:* pp. Ludwika Wegner z Berlina, St. Krzekotowski z Burgbrohl, B. Welc z Heiligenkreuz pod Wiedniem.

Wreszcie nadesłał p. W. W. z pod Kościana rozwiązanie w następującym udatnym wierszyku:

Kto chce rozwiązać, co łamigłówka znaczy,
Rzecz prosta podjąć dużo musi pracy.
Z góry na dół „imię“ sposobność się zdarza,
Od stycznia do grudnia zajrzeć do kalendarza.
I gdy wszystko pierwsze ująłem w znaczeniu,
Marcin! krzyknąłem cały z radości w drzeniu.
Zaś z końca, z dołu do góry szukając nazwiska,
Kromer! bo tu już myśl była zbyt bliska.
Jak być musi, lecz wyraz drugi zabrał sporo [czasu;
Myślę, szperam, szukam, zaglądam w końcu [aż do atlasu,
Sam się śmieję, obesłałem się nim jak gęś w pierzu
I rozglądam się jak wychodźca na Afryki (wybrzeżu;
Nie zwątpiłem —, bo i czasy szkólne były (krome —
Aż doszedłem do celu a tu do miasta Abome.
I tak mur, Abome, rum, znaczenia,
Cło, indor, nurek istne wrażenia.
Tej całej potrawy niełatwo odgadł by i Homer,
Że z jej zastawu stołu, ma być Marcin (Kromer.

Nagrodę otrzymali: pp. Łucyan Kwarciński z Poznania, „Czytelnik“ „Pracy“ z pod Kościana (autor powyższego wierszyka) i Ludwika Wegner z Berlina.



P. Albers.

FRANEK I MARYJKA
CZYLI
SKAZANY NA ŚMIERĆ.

Górnośląska nowela tłomaczona z niemieckiego przez Empę.

(Dokończenie.)

Dziewczyna patrzała nieraz na niego zalęknionemi, pełnemi łez oczami, i tylko jego pocieszające słowa zdołały spędzić z jej czoła chmurę smutku i uspokoić ją nieco.

Gdy dzisiejszego wieczora około dziesiątej rozstał się z nią, patrzała długo za nim rozmarzona i uszczęśliwiona jego miłością. Jasne światło księżyca padało w całej pełni na zręczną, wysoką postać młodzieńca a Maryjka pomyślała sobie, że tak pięknym i dumnym będzie też pewnie i syn jego.

Franek otworzył ostrożnie bramę, chcąc niepostrzeżenie iść do obory, gdzie sypiał u góry na sianie razem z pastuchem Koszuckim.

Ale wójt czekał na niego w ciemnej sieni, dyszący niepohamowaną złością. Postanowił rozprawić się stanowczo z synem i dla tego wziął z stajni krótki, kilka razy skręcony powróz.

— Tutaj Franek, tutaj — krzyknął na wchodzącego i pochwyciwszy go za rękę, wciągnął do izby. — Musimy się rozmówić! Czy prawda, że ta żebraczka Maryjka Cuchanek, jest już tak daleko? Przyznaj się! Przyznaj się, do pioruna! Przyrzekłeś jej małżeństwo? Przyznaj się, bo ci...

— Tak ojcze — odrzekł Franek drżącym głosem — kocham ją i chcę się z nią ożenić!

— O ty psiakrew! — ryknął wójt, tracąc zupełnie przytomność z gniewu, i nie wiedząc co robi, zaczął syna bić niemiłosiernie powrozem. Franek jęknął z bólu, po kilku jednak uderzeniach zdołał się wydrzeć rękom ojca i uciekł w pole.

W karczmie u Siekiery siedział gospodarz Marceli Benczek z chałupnikiem Józefem Skompą i obydwaj raczyli się „berlinką" wódki.

— Słuchajcie no — rzekł Józef nadstawiając ucha, — co się tam dzieje u naszego „bogacza"! Jaki hałas! I ten człowiek chce być katolikiem! Wstydzićby się mógł! Ach, patrzcie, on bije Franka!

— Tak, chodzi tu o Maryjkę — odrzekł Benczek. — Franek doprowadził ją tak daleko... Szkoda chłopaka i dziewczyny! Chłopak złym nie jest, on chciałby się z nią żenić, ale starzy nie pozwolą mu na to, bo ona nic nie ma! Mój Boże, stary Szefczyk nie wie sam jeszcze, jak umrze. Gardzi wszystkimi we wsi, a przecież niejeden, co dawniej siedział na worach pieniędzy, chodził później z torbą żebraczą.

— Wstyd, doprawdy wstyd — przywtórzył Skorupa i splunął, — biedny Franek nie będzie się mógł nikomu pokazać. Ojciec wybił go jak szkolarza! Fuj! taki wstyd!

III.

Franek wybiegł jak szalony z domu i po długiem błąkaniu się po polu wrócił na podwórze i ukrył się w szopie, w której stały wozy. Wstydził się iść do obory, bo wiedział, że Koszucki musiał słyszeć krzyk ojca, uderzanie powrozem i jego własne jęki. Wstydził się wyjść na wieś, bo wszyscy sąsiedzi stali jeszcze przed swemi domami, już to z ciekawości, już to z pewnego zadowolenia z tego, co się działo w kamienicy wójta. Wstydził się zapukać do okna Maryjki, bo oczy jego czerwone były od łez i twarz napuchła od uderzeń powroza. Co się miało z nim stać teraz? Co się miało stać z Maryjką? Co z dzieckiem, które za kilka miesięcy miało ujrzeć światło dzienne?

— Jeżeli się z Maryjką ożenić nie mogę — myślał — to źle będzie ze mną! Po co mi żyć na świecie?

I targany rozpaczą, wyszedł z szopy i poszedł znów w pole. Dokąd? tego sam nie wiedział!

— Dokąd? hej, dokąd to idziesz? — wołał za nim Bryłka, stróż nocny.

— Daj mi pokój — odrzekł Franek szorstko — dziś wszystko musi się skończyć!

I mimowoli zwrócił się ku pszenicy, którą dzień poprzednio powiązał w snopy i poustawiał w sterty. W długich rzędach, stały na ściernisku, skąpane w srebrnych promieniach księżyca i wyglądały jak tancerki z lekko pochylonemi głowami.

Franek dotknął snopów, zważył w palcach ciężkość pojedyńczych kłosów i zapłakał gorżko. Tu było bogactwa dosyć, a on pomagał w zwiększaniu go — bogactwo tkwiło w jego silnych ramionach i muszkułach. Czemu ojciec był tak chciwym i okrutnym?

— Franek, idziesz pewnie na odwach? — dał się nagle słyszeć głos z poblizkiego lasu.

Franek zadrżał, jak zbrodniarz, schwytany na gorącym uczynku, a przecież zbrodniarzem nie był jeszcze! Jego jedyną zbrodnią była miłość! Pod lasem stał, oparty o prastarą lipę, pomocnik gajowego Goell z leśniczówki „Quo vadis". Wyszedł on na nocny patrol, bo w tej okolicy znajdowało się dużo kłusowników, którzy przy świetle księżyca wychodzili na łowy...

— Tak, kradną tu bardzo — odrzekł Franek zmieszany.

Myślał biedny, że każdy czyta na jego twarzy wstyd i chłostę, jaką od ojca otrzymał.

I nie czekając już na odpowiedź Goella pobiegł pędem do parowu, na miejsce, na którem Maryjka wyznała mu owego wieczora, że go kocha więcej niż życie, niż świat cały, niż honor! Krew uderzyła mu do głowy, i tracąc coraz więcej przytomność, udał się teraz do nizkiej chaty Cuchanków.

W około panowała głęboka cisza i spokój. — Tylko pies podwórzowy zaszczekał — ale poczuwszy gościa, który tu co noc prawie przychodził, pokręcił ogonem i wszedł do budy. Była to już późna, jak na wieś, godzina, jedenasta—

wszyscy spali i Maryjka spała, śniąc o szczęściu małżeńskiem i macierzyńskiem...

Franek zapukał ciszej niż zwykle do okienka kuchennego, lecz Maryjka obudziła się natychmiast.

— Poczekaj na mnie przy drzwiach — szepnęła — przyjdę zaraz...

Drzwi nie były zamknięte żelazną kłódką, ubezpieczającą przed złodziejami, mały tylko, drewniany pal, wsunięty w żelazną klamrę, zamykał je na noc. Maryjka wyjęła pal z klamry i boso, odziana tylko czerwoną kwiecistą spodniczką, lekkim kaftankiem i żółtą chustką na szyi, wyszła z chaty w cichą noc...

— Maryjko! — jęknął Franek — źle z nami!

— Powiedziałeś wszystko ojcu? — zapytało dziewcze strwożone.

— Tak i on zbił mnie okropnie i zaklął się na wszystkich Świętych, że nie pozwoli mi ożenić się z tobą.

— O Boże! Boże! To dopiero początek! A jaki koniec będzie!

— Musimy znieść wszystko! — pocieszał ją chłopak. — Idź spać! Ja wrócę też do domu! Późno już!

— Nie, nie, pójdę z tobą! — zawołała Maryjka namiętnie i objęła miękkiemi ramionami szyję ukochanego.

Oboje szli w milczeniu środkiem wsi. Nagle stanęła dziewczyna i tuląc się czule do swego towarzysza, szepnęła:

— Wstyd nam żyć tak dłużej! Najlepiej byłoby powiesić się lub utopić. Czekaj tu na mnie, ja wrócę zaraz!

Po tych słowach pobiegła szybko napowrót na podwórko rodzicielskiego domu i wróciła wnet z rydlem, przełożonym przez ramię.

— Co ty chcesz — na co ten rydel? — zapytał Franek zdumiony.

— Jeno chodź dalej — odrzekła. — Takim rydlem kopie grabarz groby dla umarłych.

Zimny dreszcz przeszedł członki chłopaka, ale Maryjka szła dalej, aż do rozstajnych dróg i zwróciła się na wązką, polną drożynę.

Tutaj zatrzymała się, spojrzała z nieopisaną miłością na ukochanego, poczem rzekła stanowczo:

— Słuchaj Franek! Albo pójdziemy teraz na prawo, znowu do wsi i utopimy się w stawie, albo pójdziemy tu dalej na pole — ty zabijesz mnie rydlem i odbierzesz sobie sam życie!

Franek nie miał już własnej woli — jego wola poddała się zupełnie wpływowi tej dziewczyny o silnym i niezłomnym charakterze. Myślał znów o upokarzającej chłoście, którą musiał znieść przed kilku godzinami, i lękał się teraz, aby go Maryjka nie uważała za tchórza, gdyby się wzbraniał wykonać jej życzenie i gdyby haniebnie uciekł.

— Jeżeli chcesz — odrzekł ochrypłym i drżącym głosem — to cię zabiję. Potem powieszę się w lesie.

Maryjka zaprowadziła go aż na pole, które ojciec jego dzierżawił od wdowy Ronińskiej — było ono świeżo zorane i na kilka kroków przed głęboką bruzdą stanęła, obracając się plecami do Franka.

— Masz, — rzekła — posuwając mu rydel przez ramie.

Promienie księżyca oświecały pole, śmiertelnie bladą twarz dziewczyny i Franka, który nieprzytomny, szklanemi na wszystko patrzał oczami.

— Nie czyń tego — szeptały mu owe srebrne promienie — nie czyń tego! Zabijasz to, co ci jest najdroższem w świecie!

— Uczyń to — szepnął zły duch w jego sercu — uczyń! Jeżeli nie uczynisz, wyszydzi cię dziewczyna, wyśmieje — ciebie — którego dziś ojciec wybił, jak psa!

Franek podniósł rydel — lecz ramie jego opadło bezsilne. Ciężkie krople potu wystąpiły mu na czoło — bał się — znowu podniósł rydel i znowu go opuścił...

Ale potem zaszumiało mu w uszach, pole zaczęło mu kołować przed oczami... księżyc poruszał się niespokojnie na niebie i nagle opanowała go straszna jakaś wściekłość. Podniósł rydel i uderzył... raz, dwa razy — głowę swej ofiary, która bez słowa skargi, bez jęku, upadła na ziemię i tylko jeszcze kilka razy drgnęła...

Potem nastąpiła grobowa cisza.

Franek nie ruszał się. Stał i stał... a tysiące czerwonych djabełków pląsało i skakało w koło niego, krzycząc przeraźliwie:

— Morderca! Morderca! Zabiłeś Maryjkę! Zabiłeś twoje dziecko. Podwójny morderca! Na rusztowanie z tobą! Do piekła! Do piekła!

Okropny strach ogarnął go teraz, całe jego ciało drżało i trzęsło się gwałtownie. Nie myślał już o samobójstwie — bał się męki piekielnej, bał się błyszczącego topora kata! Myślał teraz jedynie o ocaleniu siebie. Z strachu śmierci powstało ogromne pragnienie życia i to pragnienie było silniejsze, niż strach, jaki go ogarniał i niż zbrodnia, która o pomstę do Boga wołała, i niż miłość, którą jego krwią zbroczona ręka zabiła.

Rydlem, którym zamordował ukochaną i dziecko swoje, zaczął teraz kopać grób dla obojga.

Kilkanaście kroków dalej od miejsca zbrodni wykopał dół na dwa i pół metra mniej więcej długi i na metr głęboki. Kopał tak pilnie, że pot spływał mu z czoła i zraszał mogiłę, a po upływie pół godziny była okropna ta praca ukończoną. Wrócił teraz do trupa, uniósł go pod ramiona, przyciągnął aż do dołu i wrzucił go, nie zważając, jak. Ciało upadło twarzą do góry — a twarz ta, skrzywiona bólem i zalana krwią, wyglądała prawdziwie przerażająco. Chłopak lękał się spojrzeć na nią, a jednak schylił się i patrzał... W blasku księżyca ujrzał szeroko otwarte oczy Maryjki — i jęknął, lecz płakać już nie mógł.

— Zasypać! Zasypać! — szepnął mu głos w sercu — bo inaczej schwycą cię tu...

Zerwał się więc prędko, zarzucił ziemią mogiłę, poczem udeptał ją nogami i nasypał na wierzch grudy tak, aby nikt nie poznał świeżo skopanej roli.

Potem pobiegł do domu, nieświadomy jeszcze całej zgrozy swego czynu, bo zmysł zachowawczy zagłuszał w nim jeszcze wszystko inne. Rydel wrzucił po drodze na podwórko Cuchanków.

Na niebie ukazywała się już jutrzenka, gdy drżący od zimna i strachu wchodził w oborze na drabkę, aby się położyć na sianie. Pastuch Koszucki spał jeszcze jak zabity.

— Tyś spał spokojnie — jęknął Franek — ale ja nie!

IV.

Około godziny czwartej rano wszedł stary Maciej Cuchanek do kuchni, aby się obejrzeć za śniadaniem, składającem się codziennie z żuru i kawałka chleba. Maryjki dziś w kuchni nie było, udał się więc na podwórze, do obory i wołał jej kilka razy, lecz dziecka swego nigdzie znaleść nie mógł.

Dziwne uczucie strachu opanowało starego. Wszedł nawet na strych i ujrzał tu ubranie świąteczne Maryjki, porządnie na gwoździach rozwieszone, gdyby więc była uciekła z domu, to byłaby przecież zabrała rzeczy z sobą. Nawet codzienne trzewiki stały w kuchni przy łóżku. Zaniepokojony tem Maciej przywołał żonę, która usłyszawszy o zniknięciu Maryjki, ledwie że nie upadła z przerażenia i trwogi. Spokojna zwykle i cicha kobieta krzyczała teraz, lamentowała i załamywała ręce:

— Utopiła się! Nie mogła przeżyć wstydu!

— Jakiego wstydu? — zapytał Maciej zdziwiony.

I teraz dopiero dowiedział się stary o tem, co dotychczas przed nim tajono, usiadł na próg swej chaty, a podparłszy głowę na rękach, gorżko płakać zaczął.

Lecz nagle zerwał się i rzekł do żony:

— Musimy jej szukać!

Ubrał się więc czemprędzej w niedzielny kaftan i poszedł do sołtysa, aby mu powiedzieć o zniknięciu córki.

W przeciągu godziny zebrało się przeszło sześćdziesiąt ludzi ze wsi celem szukania dziewczyny. Przejrzano każdy kąt, każdą kałużę i poblizki las, lecz wszystko daremnie!

Szukano jej cztery dni!

Cała wieś była w ruchu a gromady kobiet stały na ulicy i wymieniały swoje domysły i uwagi.

W karczmie rozmawiali mężczyźni również gorliwie o zagadkowym tym wypadku i upijali się rzetelnie. Tylko Szefczyk nie pokazywał się tam wcale — lękał się bowiem docinków i przymówek. Każde dziecko we wsi wiedziało, że chciwość jego popchnęła biedną Maryjkę do jakiegoś rozpaczliwego kroku, i że gdyby nie był tak okrutnym, gdyby nie był wybił syna, jak szkolarza, to wszystko byłoby się dobrze skończyło i Maryjka byłaby dziś żywą i szczęśliwą!

Tak, „bogacz“ bał się ludzi, ale właściwie tak on jak i żona jego cieszyli się bardzo z takiego obrotu rzeczy.

— Niech djabli wezmą tę dziewczynę, — zawołał, śmiejąc się i spluwając, — przynajmniej mam teraz spokój! Za pół roku nikt o tem mówić nie będzie i Franek dostanie bogatą żonę!

Był on teraz też o wiele serdeczniejszym dla syna i mówił mu, jak dawniej „Franzel“.

Franek natomiast unikał rodziców i rodzeństwa, służbę i każdego wogóle człowieka. Od rana do wieczora pracował na polu, przewracał snopy, oraz ściernisko i zdawał się nie myśleć o niczem innem, jak o robocie. Ale gdy był pewnym, że nikt go nie widzi, popadł w ponure zamyślenie i stał nieporuszony na jednem miejscu.

Jak inaczej wyglądał świat przed czterema dniami! Dziś wydawało mu się niebo szarem, słońce ciemnem, kwiaty zwiędłemi, dziś brzmiały mu w uszach śpiewy skowronków jak dzwony pogrzebowe, a w sercu czuł ból, i dziwne jakieś kłucie...

Od czterech dni nie spał, oczy paliły go i za najmniejszym szelestem zrywał się przerażony, myśląc, że już żandarmi idą, aby go związać... We dnie i w nocy widział ukochaną twarz Maryjki, zalaną krwią i drżał ze strachu na myśl, że własnemi nogami udeptał ziemię na jej mogile. Nie, czuł dobrze, że nie zniesie tego dłużej i pragnął nawet, aby znaleziono jej ciało i odprowadzono go na sąd! Czemu się nie powiesił zaraz! Wszystko byłoby dziś już skończone! Czemu stracił wówczas całą odwagę?... Czy nie lepiej byłoby powiedzieć sędziemu prawdę i ulżyć sumieniu? Ale kat! kat!.. Chociaż Maryjka prosiła go, aby ją zabił, to jednak będą go męczyć tygodniami i pytać ciągle, bez końca! Potem włożą mu kajdany, zwiążą go i zaprowadzą na śmierć, jak zwierzę... kat będzie stał przy rusztowaniu w czerwonym płaszczu z błyszczącym toporem... Nie! Nie miał odwagi do przyznania się do winy! Jeżeli znajdą ciało Maryjki, wtedy powie wszystko, ale prędzej — nie! Ach, byleby ją wnet znaleziono! Jak najrychlej!

— — — — — — — — — — — — — —

— Biednemu Frankowi okrutnie żal Maryjki! Że też to tak marnie skończyła! — mówiła Joanna Wrazidło do otaczających ją kobiet.

— Ba, — odrzekła Katarzyna Baszysta — kto tam wie, jak ona skończyła! Ani wy, ani ja nie wiemy tego! Może Franek ma wszelkie powody rozpaczy i smutku i wyglądania blado, może on ją sam zabił!

— Jacyście wy jednak źli, — zawołały inne kobiety, — zawsze myślicie o ludziach najgorsze rzeczy!

— Czekajcie, — syknęła jędza, — ja wam to dowiodę! Zwrócę uwagę pana żandarma na Franka! Ta sprawa musi się wydać i wyda się, wspomnicie moje słowa!

Klnąc i złorzecząc odeszła niegodziwa kobieta i udała się prostą drogą do mieszkania żandarma. Wiedziała, że trzeba tylko zbudzić podejrzenie i że w jednej chwili rozpali się z iskry płomień, pochłaniający swoją ofiarę.

I już dnia tego po południu ukazał się w domu Szefczyka sołtys, któremu żandarm powtórzył wszystko to, co mu powiedziała Katarzyna, i bez wszelkich wstępów rzekł do Franka:

— Tyś zabił Maryjkę Cuchanek!

Franek przyznał się natychmiast do winy i wskazał miejsce, na którem zagrzebał zamordowaną dziewczynę.

Katarzyna Baszysta tryumfowała! A jej bystrość i rozum podziwiali wszyscy mieszkańcy wsi i jeszcze więcej dla niej mieli respektu, niż dotąd.

Teraz rozpoczęły się sądowe badania, trupa wykopano, Franka zaaresztowano i odprowadzono do więzienia w Raciborzu.

Od niepamiętnych czasów nie popełniono w owej cichej, samotnej wiosce tak okropnego czynu, to też umysły wieśniaków były niezmiernie wzburzone i nikt się nie zajmował czem innem, jak sprawą Franka i Maryjki.

Głos ludu, sędzia, nadający sam sobie prawa, ogłosił rzeczywistym mordercą Maryjki Cuchanek wójta Jana Szefczyka i napiętnował go tem mianem bez procesu, bez spisywania aktów. Drukowane prawo nie mogło mu wprawdzie nic zrobić, ale cóż to znaczyło? Głos ludu ustanowił mu jako karę wyrzuty własnego sumienia, a to jest kat srogi i okrutny, bezwzględny i nieubłagany, z którym ani sądy przysięgłych, ani kat prawdziwy równać się nie może!

Dwa miesiące później stanął Franek Szefczyk, w kwiecie wieku i siły, złamany na ciele i duszy, przed swymi ziemskimi sędziami, przed sędziami, którzy nie rozumieli ani własnych namiętności ani ciemnych zagadek duszy ludzkiej, a którzy pomimo to sądzić mieli o tem, czego rozumieć nie mogli.

Prokurator Wolf, człowiek bez uczucia i bez serca, wystąpił z całą brutalną siłą swej pewnej siebie, gburowatej, lecz poważnej osobistości, jako oskarżyciel i wniósł skargę o haniebne morderstwo, nazywając otwarte i szczere zeznania Franka, który zapewniał, że Maryjka żądała, aby ją zabił,— podłem kłamstwem.

Cóż to szkodziło? Albo śmierć, albo dożywotne więzienie! W tak młodym wieku być pozbawionym na zawsze wolności, powietrza, miłości i słońca? Okropność.

Czy słowa, które srogi oskarżyciel wypowiedział pełnym jadu i złości językiem, nie tchnęły mimowolną łagodnością? Gdyby był rozumiał wszystko, byłby żądał z pewnością dożywotnego więzienia, a nie śmierci.

Wyrok przysięgłych brzmiał, stosownie do jego wniosku:

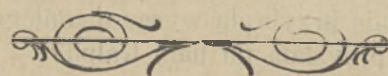
— Winny morderstwa!

Wyrok zaś sędziów:

— Skazany na śmierć!

A gwiazdy wieczne na niebie patrzały w nocy litościwie na smutkiem udręczoną ziemię...

KONIEC.





Czarna ręka.

Powieść amerykańska. Tłumaczyła z angielskiego **E. M.**

12 (Ciąg dalszy).

— Wiesz, że nie lubię takich grzesznych rozrywek! Co robi świat? Odciąga nas od tego, co najwięcej się przyczynia do naszego zbawienia. Więc precz z tym biletem!

Tak mówił reverend Boas do służącego swego Habakuka, który stał na progu z jakimś biletem w ręku.

— Ach, reverend, — odrzekł Habakuk zdumiony, — wszakże dawniej bywałeś na świeckich zabawach! Chodziłeś do teatru nawet, czemu więc nie chcesz przyjąć tego zaproszenia? Przecież parafianie zapraszają cię też często na obiady i kolacye!

— Niestety, niestety, mój Brownie! Pan mówi do nas: — Czterdzieści lat kłopotu miałem z tym ludem — są ludzie, których serce ciągnie zawsze na bezdroża i którzy moich dróg poznać wcale nie chcą!

— Ależ to koncert kościelny!

— Szatan umie najrozmaitsze przybierać postacie. Okrywa się nawet białą szatą cherubinów i na słodkich dźwiękach muzyki zakrada się do serca.

— Ale w naszym własnym kościele urządzono też już koncerta!

— Niestety, niestety! Dozór kościelny chciał tego, a ja nic zmienić nie mogłem.

Habakuk chciał jeszcze coś odpowiedzieć i już otwierał usta, lecz zamknął je nagle, jak gdyby sobie przypomniał, na co się właściwie odważał oponując tak uporczywie swemu panu. Milcząc zamierzał wysunąć się za drzwi, lecz reverend Boas musiał być dziś w doskonałym humorze, bo zawołał go raz jeszcze i do dalszej zachęcał rozmowy.

— Zdaje mi się, — rzekł, — że miałeś mi jeszcze coś do nadmienienia. Jeżeli tak jest, to mów śmiało, wiesz, że znoszę pewną opozycyą!

O tem Habakuk wprawdzie nie wiedział — przeciwnie nawet, słyszał to po raz pierwszy w życiu, ale otworzył znowu, chociaż nieśmiało, usta i rzekł:

— Tak stoi przecież w piśmie świętem: „chwalcie Pana harfami, śpiewami i psalmami, trąby i puzony grzmijcie przed Panem, przed Królem!“

Boas uśmiechnął się słodko.

— Tak jest napisane w psalmie trzydziestym trzecim— odpowiedział.

— W dziewięćdziesiątym ósmym, panie pastorze — poprawił go kościelny.

— Tak jest, w dziewięćdziesiątym ósmym — omyliłem się tylko. O skrzypcach i o fortepianie jednak nie stoi tam nigdzie — nie ma też mowy o koncertach, na które bilet kosztuje pięć dollarów.

— Więc odniosę bilet z podziękowaniem od pana pastora, napowrót pani Ralph i powiem, że na takie koncerty pan pastor nie chodzi!

Twarz reverenda przybrała wyraz niemiłego zdumienia.

— Ten bilet przysłała mi pani Ralph? — zapytał potrząsając głową.

Pani Ralph była żoną najstarszego członka gminy, wywierającego niezmierny wpływ na całą parafią.

— Czemu mi tego zaraz nie powiedziałeś? Obawiam się, że odmowa moja zmartwiłaby tę zacną niewiastę, a to bardzo by mi było przykro. Zostaw więc bilet tutaj. Pójdę na pół godziny na koncert, chętnie nie czynię tego, ale trudno...

— — — — — — — — — —

W małej, podrzędnej restauracyi na jednej z bocznych ulic Dovenfleth, siedział Mac Allan. Gładko wygoloną dawniej twarz policyanta otaczała teraz ruda broda, a oczy jego miały wyraz niespokojny i przerażony. Sala dosyć jeszcze była próżna — kilku tylko młodych ludzi, po których zaraz można było poznać, że oddawna już pracować przestali, siedziało przy stole. Byli to zawodowi pijacy.

Gospodarz, zajęty myciem i ustawianiem butelek i kufli, był tęgim i silnym mężczyzną, z mocno tatuowanemi ramionami, z których rękawy zupełnie były odwinięte. Uważał on sobie za obowiązek bawienia rozmową Mac Allana, jedynego przyzwoitego gościa. Był on dawniej kucharzem okrętowym i zwiedzał cały nieomal świat, mówił więc doskonale po angielsku, przyczem zwyczajem niewykształconych Anglików dropped hish's.

— Nie rozumiem, że nie zostaliście tam, za morzem— mówił do Allana. — Gdybym był tak młody jak wy, to chciałbym widzieć wiatr, któryby mnie stamtąd zwiał.

I ochrypłym głosem zaczął śpiewać:

„The bowry, the bowry, the bowry Yon say is the village for me!“

Irlandczyk poruszył się niecierpliwie.

— Ach, psie życie! — szepnął. — I w Niemczech już gorzej być nie może! Dawniej było inaczej!

Ale gospodarz był uparty i nie myślał zmieniać tematu.

— Pomimo to nie rozumiem, jak człowiek tak młody i cięty jak wy, chce szukać zajęcia w Niemczech. Jeżeli macie co na sumieniu, przyjacielu — mnie tam nic do tego, ale każdemu może się zdarzyć coś, o czem policya nie ma wiedzieć, więc jeżeli macie tam jaki haczyk w życiu, to pobyt w Niemczech może być dla was bardzo niebezpieczny. My mamy policyą, która zajmuje się każdym, nie mającym pełnej kieszeni pieniędzy. Bogaci mogą robić, co im się żywnie podoba.

Stary gaduła byłby jeszcze dalej mówił, lecz spostrzegłszy, że jeden z jego podchmielonych gości ściągnął mu ukradkiem butelkę wódki z bufetu i przyłożył ją do ust, umilkł natychmiast i jak szalony rzucił się na złodzieja.

— Wynoś mi się, ty gałganie — krzyknął, chwytając go za gardło. — Ja cię nauczę kraść, zbóju jakiś!

I bijąc go pięścią po głowie i plecach, pchał go z całej siły ku drzwiom.

Ale towarzysze złodzieja stanęli w obronie zaczepionego. Jeden porwał krzesło, aby je rozbić o głowę gospodarza, drugi wyjął nawet nóż ostry i długi i Bóg wie, na czem byłoby się wszystko skończyło, gdyby Mac Allan nie był pospieszył gospodarzowi na pomoc.

— Clear ont — krzyknął piorunującym głosem i uderzył pierwszego łobuza tak silnie kijem w głowę, że chłopak upadł jak martwy na ziemię. Drugiego schwycił za gardło i ścisnął je mocno, twarz biednego posiniała z strachu i bólu. Potem podniósł go i jednym zamachem wyrzucił za drzwi, na drugą stronę ulicy. Z trzecim dał sobie gospodarz sam radę. Uderzył go pięścią w twarz i zgruchotał mu nos tak, że w jednej chwili krew mu twarz zalała.

Kilka minut później znaleźli się trzej towarzysze razem na ulicy. Uderzony kijem Allana nie odzyskał jeszcze zupełnie przytomności. Przyjaciele oparli go o mur i przeklinali gospodarza i Allana, grożąc obydwom krwawą zemstą. Przechodnie, przyzwyczajeni do podobnych scen, nie zważali wcale na tę zajmującą trójkę — tylko kilka kobiet, o wcale nie dwuznacznym charakterze, wysunęło głowy z okien i śmiało się głośno z zakrwawionych twarzy młodych łobuzów.

Restaurator patrzał z niekłamanym podziwem na Allana. Nalał dwie pełne szklanki koniaku, posunął mu jednę, sam wziął drugą i rzekł:

— Wypijemy to na wasze zdrowie. Do djabła, jaką wy moc macie w rękach! Umiecie wywijać kijem tak, jak najlepszy „błękitny“ (policyant) nowojorski. I ja nie należę do najsłabszych i mogę liczyć na moje pięści, ale w porównaniu do was jestem karłem. Trzymaliście tego chłopca jak w kleszczach. Jesteście prawdziwym atletą, tę sprawiedliwość trzeba wam już oddać. Na wasze zdrowie!

Po wypiciu koniaku otarł restaurator usta i mówił dalej:

— Głowę do góry, chłopcze, chociaż czasem przeciwny wiatr wieje! Jeżeli chcecie słuchać rady doświadczonego człowieka, to powiedzcie mi całą prawdę. Zdaje mi się, że będę mógł wam pomódz!

— Ah głupstwo, — odparł Mac Allan niechętnie, — myślicie pewnie, że każdy, kto wejdzie do waszego przebrzydłego lokalu, musi mieć coś na pieńku z policyą. Co do mnie jednak, to jesteście w błędzie. Ja mam czyste sumienie.

Gospodarz zmarszczył czoło.

— Nie chcę się wdzierać w wasze zaufanie, — rzekł nieco obrażany, — myślicie może, że nie umiem zachować tajemnicy. Jeżeli więc nie, to nie. Jestem jednak tego zdania, ale nie mówię tego do was, że jeżeli ktoś nie czuje się tu zupełnie bezpiecznym, to powinien wynieść się do Rosyi. Tam zniknie na zawsze — tam nikt go nie wyśledzi.

Mac Allan zaczął teraz uważniej słuchać.

— Do Rosyi? — powtórzył z udanem niedowierzaniem, — czemu właśnie do Rosyi?

— Tak, bo tam ogromny panuje nieporządek i nieład pod każdym względem. Tam jest każdy bezpiecznym — każdy, komu tu duszno, mianowicie, jeżeli tak jak wy, ma wszystkie papiery legitymacyjne przy sobie.

— A co tam ludzie robią?

— Co kto chce! Kto ma dobre pięści, ten znajdzie wnet zajęcie, zwłaszcza blizko granicy.

— Jakie naprzykład?

Restaurator zmrużył oczy, pogładził brodę i uśmiechnął się znacząco.

— Powiedziałem to tak tylko, nie chcę wam żadnej dawać rady. Ale obecnie kwitnie handel z Finlandyą — olbrzymi import — tam można mieć ogromny zarobek! Pieniędzy jak sieczki i wygodne życie!

— Człowieku, czyście rozum stracili? Podczas takich zaburzeń politycznych ma handel kwitnąć?

— Pozwólcie mi najpierw dokończyć, nie powiedziałem przecież jeszcze wcale, co się importuje. Naprzykład broń — rewolwery, strzelby i potrzebne do tego naboje!

— Aha!

— No tak! Może to trochę ryzykowny interes, ale dobre interesa są często bardzo ryzykowne. A zresztą, kto nie ma odwagi, niech się nie miesza w takie sprawy.

Mac Allan milczał przez chwilę. Wpatrywał się w płytę stołu i zdawał się namyślać nad czemś ważnem. Gospodarz nie przeszkadzał mu. Zapalił cygaro i milczał również.

Nareszcie podniósł Irlandczyk głowę, spojrzał przenikliwie na restauratora i rzekł:

— Nie będę dłużej tail prawdy przed wami. Mam rzeczywiście powody zniknięcia na pewien czas, chociaż inne, niż myślicie. Co do stosunków w Rosyi o jakich mówiliście, trzeba tam narazić życie, jeżeli chce się mieć łatwy zarobek, ale ostatecznie — wszędzie jest tak samo!

I westchnął ciężko.

— Więc, — dodał ciszej, — jeżeli to jest prawdą, o tych rewolwerach, to..... no — usłucham was!

— — — — — — — — — — — —

Przeraźliwy świst lokomotywy przeciął powietrze i zaraz potem dały się znowu słyszeć nawoływania urzędników i krótkie rozkazy przełożonych. Pociąg ratunkowy nadjechał i teraz dopiero rozpoczęło się na dobre szukanie zabitych i rannych. Koło Perosiniego przechodzili często, jak po rozmowie ich poznawał, lekarze, urzędnicy i robotnicy. Wszyscy prawie mieli pochodnie lub latarnie, zaglądali pod potrzaskane wagony, i słuchali uważnie czy ktoś ranny nie wołał o pomoc. Perosini pragnął gorąco, aby sąsiad jego, który poprzednio tak okropnie jęczał, znów się teraz odezwał, pomimo, że był nim zapewne Bob Stanfield. Może jęki jego zwróciły uwagę przechodzących.

Ale życzenie to nie spełniło się, i niebezpieczeństwo wzmagało się z każdą chwilą.

Teraz usłyszał tuż nad sobą głosy.

— Tu nie ma nikogo, — rzekł ktoś głośno, — nie słychać ani wołania, ani jęków. Tu wszyscy zabici — a my przedewszystkiem rannych szukać musimy. Biedni popalą się żywcem.

I znów oddalili się wszyscy.

Płomienie syczały coraz bliżej. Gorący dym gryzł mu oczy i wdzierał się w płuca — w kilku sekundach poznał Perosini wszystkie męki człowieka skazanego na spalenie.

— Lepiej udusić się niż spalić, pomyślał i starał się nabrać w płuca jak najwięcej dymu.

Ale nie było mu przeznaczonem zginąć w płomieniach.

Gdy bowiem zamknął oczy i oczekiwał śmierci, uczuł nagle dotkliwy ból w twarzy. W pierwszej chwili był przekonany, że ból ten wywołały spadające iskry lub kawałki potłuczonego szkła. Wkrótce jednak następowały uderzenia po twarzy i głowie z taką po sobie szybkością i taki szmer powstał w koło niego, że zrozumiał natychmiast, co się stało. Otóż grad zaczął padać. Z głuchym szelestem spadały ziarnka lodu w buchające płomienie i topniały na palącem się drzewie. Chmura gradowa przeszła szybko, lecz zdołała przytłumić ogień i ograniczyć go na zniszczeniu potrzaskanego wagonu. Czego zaś grad nie dokonał, tego dokonał rzęsisty deszcz, który bezpośrednio po gradzie nastąpił.

Od śmierci w płomieniach był Perosini uratowany.

Ale nagła ta zmiana i wytężenie wszystkich sił moralnych i fizycznych odebrały mu zupełnie przytomność. Nie widział już, że gwiazdy zgasły na niebie, że księżyc skrył się za chmurę i że słońce zaświeciło nad miejscem nieszczęścia. Nie widział z jaką gorliwością i poświęce-

niem się szukali lekarze i urzędnicy zabitych i rannych — nie słyszał jęków i płaczów tych, którzy stracili tu osoby bliskie sercu i nie widział strasznie pokaleczonych trupów. Leżał zemdlony i zdawało się, że nigdy się już nie obudzi.

— Hej, hej! — krzyknął jeden z robotników, przeszukujących zgliszcza i gruzy.

— Co tam?

— Znalazłem tu jeszcze jednego.

— Niech leży, aż przyniosą trumny.

— Ale on oddycha jeszcze!

— To co innego! Dalej! Bierzcie go w trzech, ale ostrożnie, bo w ciele jego pewnie jednej całej nie ma kości. Spieszcie się!

Po upływie pół godziny wyciągnięto Perosiniego z pod szczątek spalonego wagonu.

— — — — — — — — — — — —

Salony Anny Michałowny rzęsistem płonęły światłem. Jedna kareta po drugiej zajeżdżała przed kamienicę — i strojnie ubrane damy, oficerowie i panowie w frakach, ozdobionych orderami, zapełniali mieszkanie pięknej przyjaciółki Wielkiego księcia Aleksandra.

Wszyscy bawili się tu głośno i hałaśliwie — wieczorki u Anny były zawsze bardzo „sans gene,“ i nikt nie myślał o tem, co się dzieje na ulicach Petersburga ile łez i krwi płynie w całej Rosyi!

Panowie uczęszczający na wieczorki Anny należeli bez wyjątku prawie do najlepszego towarzystwa, co do kobiet zaś miała się rzecz zupełnie inaczej. Były tu żony niższych urzędników, które nie śmiały odmówić zaproszeniu „wszechwładnej Anity“ — były żony niższych oficerów, i były piękne panie półświata! Oprócz tego można tu było spotkać aktorki, śpiewaczki, baletniczki, studentki medycyny, nauczycielki przybyłe z Francyi i Anglii i najrozmaitsze inne kobiety, pragnące się bawić.

Goście jedli zakąski, pili likiery i zabijali czas jak mogli aż do kolacyi, do której przed przybyciem Wielkiego księcia zasiadać nie było wolno.

Na zaproszeniach na dzisiejszy wieczór była wzmianka o wielkiej niespodziance, jaka gości czeka. Wszyscy pytali teraz o nią, lecz Anna nie zdradzała tajemnicy i tem większą w gościach wzbudzała ciekawość.

Jedni twierdzili, że ktoś pokaże kinematograficzne obrazy z placu wojny, inni domyślali się, że Anita urządza loteryą o bardzo kosztownych wygranych, jeszcze zaś inni dowodzili z całą pewnością, że clown Durow da przedstawienie z dresowanemi świńkakmi. Nikt nie wspomniał słowem o smutnem położeniu Rosyi, a jeżeli się kto odważył zwrócić rozmowę na ten temat, tego wyszydzano i trywialnemi zbywano dowcipami.

Około dziesiątej przybył Wielki książe. Ucałował gorąco obie ręce Anity, przywitał obecnych bardzo uprzejmie i prosił, aby sobie dla niego nikt nie zadawał przymusu. Niepotrzebnie jednak prosił o to — każdy z zaproszonych wiedział, że Wielki książe tutaj ceremonii nie lubi, i że na małych kolacyjkach u Anity może się każdy bawić, jak chce.

Im głośniej i krzykliwiej, tem lepiej!

Kolacya, dostarczona przez najpierwszego w stolicy restauratora, była rzeczywiście wyborną, szampan lał się formalnie i humory gości były tak świetne, jak rzadko. Mężczyźni byli wszyscy pijani — lecz i niektóre z pań zdawały się mieć dosyć. Pomimo to pili wszyscy dalej tak, jak gdyby im już na inny raz czasu na picie nie starczyło.

Lecz nagle wytrzeźwili wszyscy.

W przyległym pokoju dało się słyszeć miarowe stąpanie żołnierzy i szczęk broni.

— Otwierać! — zawołał ktoś za drzwiami.

Co to miało znaczyć?

Czy zamierzano kogoś aresztować?

Ale kogo? Jedną osobę — albo może kilka naraz.....

Bo w Rosyi wszystko jest możliwe. Czy wieczór, rozpoczęty tak wesoło, w jasnych salonach Anity, miał się skończyć w ciemnościach twierdzy petropawłowskiej?

Z bijącem sercem patrzeli goście na Anitę i Wielkiego księcia, lecz oboje siedzieli spokojnie tak, jak gdyby ich cała ta sprawa nic nie obchodziła.

Niepewność ta jednak nie trwała zbyt długo.

Do pokoju wszedł teraz oficer żandarmeryi, ukłonił się nizko Wielkiemu księciu i rzekł krótko:

— Rozkaz Waszej Wysokości spełniony!

— Wprowadź więc obydwóch i wypij z nami kieliszek wina, — odpowiedział książę uprzejmie.

Oficer zrobił zwrot w prawo, wyszedł i wrócił po chwili z Arturem Geusmore i Rochsem.

Żołnierze oddalili się natychmiast. Anita nalała własnoręcznie kielich szampana i podała go oficerowi, a Wielki książe śmiał się do rozpuku i zawołał z ukłonem właściciela budy jarmarcznej:

— Szanowni państwo! Wielka nas czeka przyjemność! Na energiczne życzenie naszej pięknej gospodyni. Anny Michałowny, zagra nam dziś kilka sztuk pan Artur Geusmore, a ten tam, — dodał, wskazując ręką Rochsa, — może mu nuty obracać!

— — — — — — — — — — — —

Reverend Boas ocierał gęste krople potu spływające mu na czerwoną, zgrzaną twarz.

— Jak z oczu memu bratu wyjęty! — szeptał sam do siebie i znów wyjął z kieszeni cienką, jedwabną chustkę.

— I poznał mnie! Nie ulega to żadnej wątpliwości! Zawdzięczam to wszystko tej starej, przeklętej Judge! Żeby ją djabli wzięli razem z jej głupią kościelną muzyką!

Wstał, stękając, z swego wygodnego krzesła i poszedł do szafy z książkami, sięgającej od jednej ściany do drugiej. Za szklanemi drzwiami widać było mnóstwo książek, grubszych i cieńszych. Boas otworzył drzwi kluczem, który nosił zawsze na mocnym łańcuszku na szyji i wziął jednę z grubszych książek. Okazało się teraz, że to była atrapa. I tak każda z grubszych książek zawierała jednę lub dwie buteleczki likieru, koniaku lub wina.

Boas uśmiechnął się. Spojrzał na atrapę, na której wypisane były słowa: De civitate Dei libri XXII. i rzekł:

— Wspaniałe wywiera to wrażenie na osłach mojej gminy. Ale nie zrozumiałbym treści tych książek, chociaż męczyłem się dosyć łaciną w szkołach. Znam się lepiej na treści moich butelek!

Przygotował sobie z rozmysłem i wielką uwagą kieliszek napoju, złożonego z rozmaitych likierów i koniaku i wypił go duszkiem z westchnieniem głębokiego zadowolenia.

— No, teraz odzyskam znowu przytomność i odwagę! Czego mam się obawiać? Niech no przyjdzie tu mój siostrzeniec! Dam sobie jeszcze z nim radę!

Zacisnął pięść i podniósł ją tak, jak gdyby kogoś zmiażdżyć chciał. Przy tej sposobności odwrócił głowę, ujrzał się w lustrze zawieszonem tak, że siedząc przy biurku mógł widzieć każdego wchodzącego do pokoju, i spuścił rękę natychmiast.

— Pfe, Boasie, — szepnął, — tak nie powinien postępować sługa Boży. Czy chcesz znów przybrać twoje maniery z Nebraski? Gdyby cię był w tej chwili widział kto z twej parafii!

Nagle dało się słyszeć pukanie do drzwi.

— To Habakuk, — pomyślał Boas.

(Ciąg dalszy nastąpi).